

Bernadeta Maciąg

Przeżyliśmy piekło, a mord, żeby więcej nie powrócił



*Wspomnienia
byłej więźniarki
hitlerowskiego obozu
w Potulicach*



Bernadeta Maciąg

Przeżyliśmy piekło, a mord,
żeby więcej nie powrócił!

Wspomnienia
byłej więźniarki hitlerowskiego obozu
w Potulicach

Jabłonowo Pomorskie 2009

Zebranie i weryfikacja materiałów: Ewa Rzepka
Opracowanie językowe, stylistyczne i korekta: Halina Gawenda
Skład komputerowy: Ryszard Maciejewski
Publikacja sfinansowana przez Urząd Miasta i Gminy w Jabłonie
Pomorskim.

Gimnazjum
im. Mikołaja Kopernika
w Jabłonie Pomorskim
www.gimnazjum-jablonowo.pl



19.521

Spis treści:

Przedmowa	4
Od autora	6
Część I	7
Rys historyczny o hitlerowskim obozie w Potulicach 1941–1945	7
Literatura na temat obozu Potulice	12
Część II	13
Wspomnienia pani Bernadety Maciąg (z domu Fiałkowskiej) z pobytu w obozie przesiedleńczym w Potulicach	13
Rozdział I	14
Wybuch wojny 1939 roku i początki okupacji	14
Rozdział II	18
Wypędzenie i wywózka	18
Rozdział III	20
W starym obozie	20
Rozdział IV	29
W nowym obozie	29
Rozdział V	34
Wieś Wyrza w powiecie wyrzyskim	34
Rozdział VI	35
Koniec wojny i powrót do domu	35
Zakończenie	39

Przedmowa

W tej książce chcemy przedstawić merytorycznie przez nas opracowane pod względem historycznym i literackim wspomnienia mieszkanki Lembarga – Pani Bernadety Maciąg.

W pracy przyświecały nam dwa cele. Pierwszy to ocalić od zapomnienia relację Pani Maciąg z jej pobytu w hitlerowskim obozie pracy w Potulicach. Wspomnienia obozowe bowiem zostały przez nią spisane już w 1993 r., ale były znane tylko jej najbliższym.

Drugi cel to przekazanie wiedzy o czasach okupacji hitlerowskiej młodemu pokoleniu Polaków. Z nauczycielskiego doświadczenia wiemy, że inaczej przemawiają do młodych ludzi suche, książkowe fakty, a inaczej autentyczny przekaz osoby, która jest im znana.

Relacja Pani Maciąg obejmuje przede wszystkim jej osobiste przeżycia widziane oczyma czternastoletniego dziecka, a także to, czego mała Basia (tak nazywano Panią Bernadetę w dzieciństwie) dowiedziała się od innych współwięźniów. Na naszą prośbę Pani Maciąg dopisała również wspomnienia z lat 1939-1942, sprzed wywózki do obozu.

Przygotowanie wspomnień do publikacji wymagało od nas wielu godzin żmudnej pracy. Najpierw jedna z nas – historyczka – dokonała analizy i weryfikacji materiału, a także napisała rys historyczny, sporządziła przypisy i prowadziła nieustanne konsultacje z autorką. Całokształt literackiego przygotowania tekstu do publikacji wzięła na siebie druga z nas – polonistka, która ustaliła również ostateczny kształt opracowania (podział na rozdziały, zamieszczenie przypisów i załączników). Pojawił się oczywiście dylemat: czy zachować indywidualny styl autora, czy opracować tekst językowo i stylistycznie tak, aby był on bliższy współczesnemu czytelnikowi. Doświadczenie¹ podpowiadało, że drugie rozwiązanie jest lepsze i ono zyskało także pełną aprobatę autorki. We wspomnieniach zostały więc

¹ W podobny sposób dokonałam opracowania wspomnień pp. Heliodora Barańskiego i Benedykta Konkola *Jabłonowo Pomorskie w latach 1914 – 1939*.

zachowane wszystkie fakty oraz opisy wydarzeń i osób, ale język i styl relacji został zmieniony.

Wspomnienia Pani Maciąg w naszym opracowaniu uzyskały pozytywną opinię profesora nauk humanistycznych w zakresie historii – Pana Adama Gąsiorowskiego², który napisał: „Wspomnienia te są wiarygodne i zasługują na opublikowanie”.

Poprawną pisownię wyrazów niemieckich konsultowałyśmy z koleżanką Jolantą Drumińską - nauczycielką języka niemieckiego. Skład komputerowy i przygotowanie wersji elektronicznej do druku to zasługa naszego kolegi Ryszarda Maciejewskiego – nauczyciela informatyki. Projekt okładki został wyłoniony w drodze konkursu ogłoszonego wśród uczniów klas pierwszych gimnazjum. Zwycięzcami zostało dwoje uczniów klasy Id: Barbara Chrzanowska i Krzysztof Ulatowski. Pragniemy podziękować za współpracę dyrektor Gimnazjum im. Mikołaja Kopernika w Jabłonie Pomorskim – Pani Elżbiecie Zielaskowskiej, która wzięła na siebie trud dopełnienia formalności związanych z wydaniem publikacji i pozyskała na ten cel fundusze z Urzędu Miasta i Gminy w Jabłonie Pomorskim.

Ewa Rzepka – nauczycielka historii

Halina Gawenda – nauczycielka języka polskiego

2 Prof. Andrzej Gąsiorowski jest wykładowcą najnowszej historii Polski na Uniwersytecie Gdańskim. Opinia prof. została pozyskana poprzez Muzeum Stutthof w Sztutowie.

Od autora

Oddaję Państwu do rąk relację napisaną na podstawie moich własnych przeżyć, a także tych zasłyszanych od innych współwięźniów. Jest to pamiętnik z lat pobytu podczas okupacji w hitlerowskim obozie w Potulicach. Swoje wspomnienia zaczęłam spisywać w 1993 roku, w kolejnych latach je uzupełniając i poszerzając.

Tragedia mojej rodziny rozpoczęła się z chwilą wybuchu II wojny światowej. Dla mojego pokolenia 1 września 1939 roku to niezapomniana data. Data, od której każdego dnia przez kilka lat towarzyszyła nam obawa o życie. Do dziś odczuwam dotkliwy ból, kiedy przypominam sobie zabitych ludzi, bombardowania oraz pożary, które niszczyły polskie miasta i wsie. W tym czasie wraz z rodziną mieszkalam w małej wsi Lembarg. Wysiedlono nas stamtąd 30 kwietnia 1942 roku. Mając 14 lat, trafiłam do obozu w Potulicach. Tam przebywałam od maja 1942 roku do grudnia 1943 roku. (Wtedy wszyscy, nawet moja mama, wołali na mnie Baśka, a nie Bernadeta - nieoficjalnie używam imienia Basia do dziś). Potem dzięki mojej mamie zostaliśmy skierowane do pracy na majątku w miejscowości Wyrzysk. Tu doczekaliśmy wyzwolenia i końca wojny. W kwietniu 1945 roku szczęśliwie, chociaż nie bez problemów, powróciliśmy do Lembarga, do domu. Obraz pustki i zniszczeń, jaki ujrzałyśmy, do dziś budzi we mnie przerażenie. Jednak byliśmy wolne! Pełne zapału przystąpiliśmy do odbudowy domu i prowadzenia gospodarstwa.

Mój pamiętnik powstał z myślą o ludziach młodych i do nich w szczególności kieruję swoje słowa. Uważam bowiem, że moim obowiązkiem, jako świadka wydarzeń, jest przekazanie młodemu pokoleniu prawdy o hitlerowskiej okupacji. Jednocześnie pragnęłabym przestrzec przed okrucieństwem zbrodni ludobójstwa. Wiem, że tragiczne doświadczenia polskiego narodu podczas okupacji miały wpływ na stosunek Polaków do Niemców po zakończeniu II wojny światowej. Nie chciałabym jednak, aby młodzież czuła nienawiść do Niemców lub, co gorsze, chęć zemsty. Moje wspomnienia traktuję raczej jako ostrzeżenie dla przyszłych pokoleń – żyjcie tak, żeby już nigdy nie powtórzył się koszmar wojny.

Bernadeta Maciąg

Część I

Rys historyczny o hitlerowskim obozie w Potulicach 1941–1945

Atak III Rzeszy na Polskę 1 września 1939 roku dla tysięcy Polaków oznaczał lata grozy, rozpacz i niezliczonych tragedii. Zaplanowana przez Adolfa Hitlera akcja eksterminacji narodu polskiego została przeprowadzona już jesienią 1939 roku na Pomorzu Gdańskim, wcielonym, dekretem z dnia 8 października tego roku do Rzeszy Niemieckiej. W mowie wygłoszonej 6 października 1939 roku Adolf Hitler zapowiedział rozpoczęcie regulacji etnicznej nowo zdobytych ziem. Ziemie wcielone do III Rzeszy miały być zgermanizowane³. Ludność polską (około 8,9 mln Polaków) planowano przeznaczyć do zniemczenia lub usunąć z kraju poprzez skierowanie na teren Generalnego Gubernatorstwa. W ramach niemieckich planów germanizacji Pomorza były wysiedlane głównie rodziny polskie, których gospodarstwa zostały przekazane osadnikom niemieckim. W zasadzie do obozów lub na obszar GG byli skierowani wszyscy ci, którzy w momencie wysiedlania przebywali w domostwie. Ich winą było przyznawanie się do polskości i odmawianie podpisania niemieckiej listy narodowościowej, czyli Deutsche Volksliste. Według niej Niemcy rozróżniali cztery grupy mieszkańców:

- I grupa – Niemcy, obywatele III Rzeszy (Volksdeutscher);
- II grupa - Niemcy, którzy przed 1939 rokiem nie byli obywatelami III Rzeszy, ale kultywowali kulturę niemiecką (Deutschstämmige);
- III grupa - Niemcy spolszczeni, Niemcy żyjący w związkach

3 Dekret Hitlera z dnia 8 X 1939 roku ustalił podział administracyjny ziem polskich zagarniętych przez III Rzeszę. Część ziem postanowiono włączyć jako "ziemie wcielone". Do Rzeszy zostały wcielone województwa: pomorskie, poznańskie, górnoląskie, większa część łódzkiego, zachodnia część krakowskiego, Mazowsze, powiat Suwałki, niektóre powiaty województwa kieleckiego wraz z Zagłębiem Dąbrowskim. Włączono również do Rzeszy Wolne Miasto Gdańsk. 12 X 1939 roku z ziem niewcielonych do Rzeszy utworzono Generalne Gubernatorstwo (GG).

- małżeńskich z Polakami, osoby skłaniające się ku niemczyźnie na zasadzie związków krwi i kultury (Engedeutsche). W praktyce niemieckie władze okupacyjne przymuszały ludność polską zamieszkałą przed I wojną światową na Pomorzu do podpisywania Niemieckiej Listy Narodowej (Deutsche Volksliste – DVL). Po wydaniu przez Alberta Forstera, namiestnika w okręgu Rzeszy Gdańsk – Prusy Zachodnie (tzw. Reichsgau Danzig – Westpreussen) 22 lutego 1942 roku tzw. „Aufrufu” o traktowaniu osób odmawiających podpisania niemieckiej listy DVL, nie wyrażenie zgody groziło represjami do kary osadzenia w obozach koncentracyjnych włącznie. Zmiana polityki wynikała z dążenia do szybkiego zniemczenia polskiej ludności na Pomorzu i uzyskania rekrutów do Wehrmachtu. Podpisanie listy umożliwiało Niemcom wprowadzenie przymusowego poboru mężczyzn do Wehrmachtu;
- IV grupa - Polacy wyselekcjonowani jako kandydaci na Niemców (Rückgedeutsche). Wpisując im w dokumentach „narodowość niewyjaśniona”, Niemcy wysyłali na osiedlenie w głębi Niemiec całe rodziny w celu ich zniemczenia.

Każdy Polak, który odmówił podpisania listy narodowościowej, narażał siebie i swoją rodzinę na śmierć, wysiedlenie, obóz pracy lub obóz koncentracyjny.

Niemiecki nazistowski obóz w Potulicach koło Nakła nad Notecią został założony 1 lutego 1941 roku. W latach 1941–1945 pełnił funkcję obozu przesiedleńczego, karnego i obozu pracy. Służył wyniszczeniu polskich rodzin kierowanych do tego obozu razem z dziećmi poprzez przymusową niewolniczą pracę, ciężkie warunki bytowe i system kar. Pierwszy transport do obozu w Potulicach przybył 4 lutego 1941 roku z Bydgoszczy. Podobne obozy istniały w Toruniu oraz w Smukale pod Bydgoszczą⁴. W okresie od 1 września 1941 roku do stycznia 1942 roku obóz w Potulicach podlegał pod wychowawczy obóz pracy w Stutthofie, którego komendantem był wówczas Maks

4 Obóz w Toruniu popularnie nazywano „Szmalcówką”, gdyż znajdował się przy ulicy Grudziądzkiej na terenie dawnej fabryki szmalcu; szmalec= smalec. Szerzej o funkcjonowaniu podobozów zob.: *Żywi i martwi - o hitlerowskim obozie Potulice (1941- 1945)*, pod red. T. Samselskiego, Bydgoszcz 2000, s. 13.

Pauly⁵. Od stycznia 1942 roku nastąpiła kolejna zmiana administracyjna. Obóz w Potulicach został organizacyjnie usamodzielniony i już do końca swego istnienia pełnił funkcję obozu karnego. Wtedy też obozy w Toruniu i Smukale stały się podobozami. W 1943 roku podjęto decyzję o ich likwidacji, a więźniów z tych podobozów przewieziono do Potulic. Obóz w Potulicach określa się jednym z największych nazistowskich obozów o charakterze eksterminacyjnym dla nieletnich. Funkcjonował tu wydzielony obóz dla pół tysiąca dzieci przywiezionych ze Związku Sowieckiego, spod Witebska i Smoleńska (Ostjugendbewahrlager). Z zachowanych dokumentów obozowych wynika, że od 4 sierpnia 1944 roku do obozu w większej liczbie zaczęły przybywać dzieci polskie, przywożone między innymi: z Czeladzi, Trzebini i Sosnowca. Jedna z list zawiera nazwiska 78 dzieci, z których najstarsze miało czternaście lat, a najmłodsze dwa. Polskie dzieci zajęły barak po wywiezionych w nieznanym kierunku dzieciach rosyjskich i białoruskich. W obozie były głodzone i maltretowane przez obsługę, która kierowała je do wyczerpującej pracy w polu lub przy zbiorach jagód w lesie⁶.

W początkowej fazie istnienia obozu pomieszczenia dla więźniów znajdowały się w potulickim pałacu oraz w przyległych do niego zabudowaniach gospodarczych. Ponieważ pałac był zatłoczony do granic możliwości, Niemcy znaleźli prowizoryczne rozwiązanie. W każdej izbie nad głowami więźniów utworzono drugie piętro z desek. Potem w sąsiedztwie pałacu dobudowano jeszcze trzy baraki bez okien i tak niskie, że więźniowie poruszali się w nich na czworakach. Te baraki

5 W tym okresie Stutthof funkcjonował jako wychowawczy obóz pracy. Po wizytacji H. Himmlera 23 listopada 1941 roku obóz Stutthof otrzymał status obozu koncentracyjnego 7 stycznia 1942 roku i organizacyjnie zaczął podlegać Centrali Obozów koncentracyjnych w Oranienburgu i od 1 lutego 1942 roku powołanemu Urzędowi D SS – WVHA (Główny Urząd Gospodarczo – Administracyjny SS). Krematorium na terenie tego obozu zaczęło funkcjonować od września 1942 roku. W latach 1939 – 1941 obóz Stutthof spełniał kryteria pod względem rygoru i warunków życia dla więźniów obozu koncentracyjnego. Zob. szerzej: *Hitlerowski obóz koncentracyjny Stutthof*, opracowanie zbiorowe pod red. D. Steyera, Warszawa 1988.

6 Zob. szerzej: T. Samselski, op. cit., s. 15.

posiadały tylko dach z desek i nie były wyposażone w ogrzewanie. Niemcy nazywali je „Notbarcken”, a Polacy „baraki murzyńskie” albo „psie budy”⁷. W okresie, kiedy obóz w Potulicach podlegał administracyjnie pod obóz w Stutthofie, rozpoczęto prace przy budowie nowego obozu, który nazwano Lebrechtsdorf. Budowę prowadzono głównie siłami sprowadzonych ze Stutthofu więźniów-fachowców. W pracach, które zakończono w końcu 1944 roku, pomagali też miejscowi więźniowie. Obok baraków dla więźniów powstały zakłady lotnicze „Hansenwerke”, zakłady kuśnierskie „Schultz” oraz warsztaty rzemieślnicze.

Należy tu nadmienić, że przez cały czas swojego istnienia obóz w Potulicach nie miał statusu obozu koncentracyjnego, ponieważ nie było tam krematorium. Jednak w obozie panował wielki głód. Racje żywnościowe zawierały formalnie 800 kalorii dziennie. Głód, przy pędzeniu więźniów do robót na 12 godzin dziennie, miał decydujące znaczenie w wyniszczaniu ludności. Duża śmiertelność panowała zwłaszcza wśród dzieci i osób starszych⁸.

Spośród 1297 osób zmarłych w obozie, których nazwiska ustalono, 767 stanowią dzieci. W trzech hitlerowskich obozach: w Potulicach, Smukale i Toruniu zmarło 2058 uwięzionych, w tym 1206 dzieci, co stanowiło 56 procent ogółu ofiar. Należy tu zaznaczyć, że podane powyżej dane pochodzą z dokumentacji obozowej sporządzonej przez Niemców i z pewnością są niepełne. W przeddzień wyzwolenia - 21 stycznia 1945 roku w obozowej ewidencji było 11 188 osób. Na terenie obozu było 5339 osób, w tym 660 dzieci i 189 chorych. Poza obozem w kilku dużych przedsiębiorstwach (komanda pracy), między innymi w Fabryce Skrzydeł Samolotowych w Pile, w Zakładach Futrzanych Schultza w Gdańsku, przebywały 4552 osoby, a w gospodarstwach rolnych 1327 osób. Przyjmuje się, że przez cały okres istnienia obozu w Potulicach było więzionych 25 tysięcy osób⁹. Dodam, że z terenu obecnej gminy Jabłonowo Pomorskie było wysiedlonych 71 rodzin, co daje liczbę 310 osób. Na szczęście większość z nich

7 Były to baraki mające około 70 m długości o wysokości 1 m. Zob. T. Samselski, op. cit., s. 13.

8 T. Samselski, op. cit., s. 16.

9 Ibid, s. 19.

przetrwała obóz i po wojnie powróciła do domu.

Po wojnie na ścianie potulickiego pałacu umieszczono pamiątkową tablicę, natomiast na przyobozowym cmentarzu znajdują się częściowo zidentyfikowane groby pomordowanych. Cmentarz Ofiar Obozu Hitlerowskiego w obecnej formie został założony w 1958 roku. 8 czerwca 1969 roku odbyła się na nim uroczystość odsłonięcia pomnika według projektu Jerzego Buczkowskiego - rzeźbiarza z Solca Kujawskiego. Artysta umieścił w betonowym obelisku płaskorzeźbę przedstawiającą dzieci zamęczone pracą fizyczną i głodem. Na pomniku wyryto fragment wiersza „Elegia o chłopcu polskim” Krzysztofa Kamila Baczyńskiego:

“...Wyuczyli cię, syneczku, ziemi twej na pamięć,
odchowali cię w ciemności, odkarmili bochnem trwóg,
przemierzyłeś po omacku najwstydlwsze z ludzkich
dróg”.

* * *

Literatura na temat obozu Potulice:

- Dreas W., *Powiat bydgoski oskarża*, Bydgoszcz 1946.
- Jastrzębski W., *Potulice - hitlerowski obóz przesiedleńczy i pracy 1941 1945*, Bydgoszcz 1967.
- Jastrzębski W., Sziling J., *Okupacja hitlerowska na Pomorzu Gdańskim w latach 1939 – 1945*, Gdańsk 1979.
- *Obozy hitlerowskie na Pomorzu Zachodnim i Gdańskim w latach II wojny światowej*, red. L. Janiszewski, Szczecin 1989.
- Orski M., *Przedsiębiorstwa SS i firmy prywatne – najemcy siły roboczej obozu koncentracyjnego Stutthof w latach 1939 – 1945. Ekonomiczne uwarunkowania zatrudnienia więźniów*, Gdańsk 2001.
- *Stutthof hitlerowski obóz koncentracyjny*, praca zbiorowa pod red. D. Steyera, Warszawa 1988.
- *Żywi i martwi o hitlerowskim obozie w Potulicach*, red. T. Samselski, Bydgoszcz 2000.

Część II

Wspomnienia pani Bernadety Maciąg (z domu Fiałkowskiej) z pobytu w obozie przesiedleńczym w Potulicach



Rozdział I

Wybuch wojny 1939 roku i początki okupacji

W dniu wybuchu wojny miałam 11 lat, dlatego wydarzenia z 1 września 1939 roku dobrze pamiętam. Będąc dziewczynką, przeżyłam je jako przerażające i budzące grozę. W dniu napaści hitlerowskich Niemiec Polska do wojny nie była przygotowana i w ogóle nie planowała jej prowadzić. Niemcy natomiast w pełni zrealizowały swój plan, uderzając z Prus na nasze ziemie. Najpierw zostało zaatakowane Jabłonowo, a celem ataku Niemców była parowozownia oraz dworzec kolejowy. Chodziło o to, aby zniszczyć kolej i odciąć wojsku polskiemu drogę przemieszczania się.

1 września 1939 roku, w ciągu dnia, zajechał do naszego gospodarstwa polski żołnierz na koniu, który przekazał nam informację, że Jabłonowo w ogniu i że mamy uciekać. Poinformował także o tym, że wtedy będzie przebiegał front. Zaczęliśmy przygotowywać się do ucieczki. Po żniwach mieliśmy jeszcze drabiniaste wozy i na nie kładliśmy najpotrzebniejsze rzeczy: pierzyny, chleb, mąkę, po czym ruszyliśmy w drogę. Jechaliśmy w stronę Ostrowitego, a w tle widzieliśmy palące się nasze miasto - Jabłonowo. Niestety, w górze co chwilę pojawiały się niemieckie samoloty - bombowce. Jak nadlatywały, to aż się ziemia trzęsła, a my chowaliśmy się pod drzewa. Tak dojechaliśmy do Ostrowitego. Zobaczyliśmy zniszczoną cukrownię, a obok kuźni zabitego polskiego żołnierza i jego konia. Po tej chaotycznej ucieczce wróciliśmy do Lembarga na nasze gospodarstwo. Znow zaczęliśmy w miarę spokojne życie upływające na ciężkiej pracy. Ojciec jak zwykle pracował w polu. Zaorał i obsiał pola, bo była już jesień. Po siewach planowaliśmy rozpocząć wykopki i wtedy dotknęła nas pierwsza tragedia.

10 października 1939 roku aresztowano naszego ojca Jakuba Fiałkowskiego. Tego dnia przyszedł młody Niemiec w cywilnym ubraniu z bronią na ramieniu i kazał ojcu zabrać zapas jedzenia na 24

godziny. Jako powód tak nagłego opuszczenia domu przez ojca podał, że będzie on tłumaczem i pośrednikiem w rozmowie Niemców z polskimi jeńcami. Cała rodzina знаła przybyłego Niemca, ponieważ przyjaźnił on się z moim bratem i swego czasu świetnie rozumiał po polsku. Jednak po wybuchu wojny ten chłopak, jak wielu innych Niemców, nagle „stracił polską mowę”. Ojciec, widząc młodego siedemnastoletniego chłopaka, zwracał się do niego podczas rozmowy po niemiecku „sznuflu”, co po polsku oznaczało „smarkaczu”¹⁰. Ten pogardliwy ton naszego taty całkowicie odzwierciedlał rozpaczliwość sytuacji. Ojciec wyczuł, że pod pretekstem tłumaczenia rozmów Niemiec chce go podstępem wyciągnąć z domu. Odchodząc, rzekł do mamy: „Ze mną to już koniec, ja już nie wrócę. Patrz, on ma broń.” Po czym zapłakał i odszedł prowadzony przez Niemca pod bronią. Więcej już go nie zobaczyliśmy. A muszę dodać, że mieliśmy dobrego ojca, który nas bardzo kochał. Niemiec, który zabrał mojego ojca, nazywał się Erwin Korzej i mieszkał w Lembargu.

Po śmierci ojca prowadzenie gospodarstwa przejęła moja mama. Niemcy zaczęli wydawać wiele rozporządzeń, do których należało się dostosować. Pierwszy pojawił się okólnik, czyli obwieszczenie Bürgermeistra,¹¹ na podstawie którego każde polskie gospodarstwo mogło mieć tylko jednego psa i to na uwięzi, a nie biegającego luzem. Dla nas był to problem, ponieważ do tej pory mieliśmy trzy psy, zatem dwa musieliśmy pozbawić życia. Rozporządzenie dotyczyło tylko nas Polaków. Sama widziałam, że nasz sąsiad Niemiec posiadał dwa psy, ale jemu było wolno. Niemcy nakazali przyprowadzić wszystkie psy na skrzyżowanie w naszej wsi, na drogę prowadzącą w kierunku Kruszyn Dużych i Mieszew. Nasze dwa psy zaprowadził mój brat i to on był świadkiem ich zabijania. Niemcy kazali psy przywiązywać do drzew, a następnie do nich strzelali, mając przy tym dobrą zabawę. Akcja zabijania zwierząt miała na celu pokazać Polakom, co wobec nich planują Niemcy.

Inne obwieszczenie nakazywało wszystkim Polakom

10 sznuflu - jest to wyraz spolszczony i potocznie oznacza smarkaczu; z niem.

Schnüffler - wachacz, konfident, ktoś wścibski

11 Bürgermeister - burmistrz

zasłanianie wieczorem wszystkich okien, czyli takie verdunkeln¹². Niemcy tłumaczyli ten nakaz możliwością dokonywania bombardowań przez samoloty angielskie i amerykańskie, ale my wiedzieliśmy, że to nieprawda. Chodziło tu o coś innego, głównie o to, by Polacy nie widzieli, czego Niemcy dokonują nocą i w którym kierunku co wywożą. Przypuszczam, że chodziło również o podsłuchiwanie nas - Polaków i naszych rozmów. Rozporządzenie nie dotyczyło bowiem Niemców, w oknach ich domów światło się świeciło.

Kolejnym przejawem okupacji niemieckiej było pozbywanie się nocą wszelkich znaków katolicyzmu: krzyży i przydrożnych świętych figur. Niemcy sami wywracali figury. Nie brali do pracy i pomocy Polaków, aby ci nie wiedzieli, gdzie zostały one schowane lub wyrzucone. Ponieważ nasz dom stał przy drodze z Lembarga do Bukowca, często słyszeliśmy w nocy turkot kół od wozów, zwłaszcza że dawniej były to koła okute żelazem. Rano przyszła do nas córka sąsiadów, która miała 12 lat. Powiedziała, że ona i jej rodzina nie spali całą noc, bo słyszeli huki. Okazało się, że została wysadzona i rozwalona święta figurka, która stała przy naszej szosie. Została po niej tylko sama podstawa. Innym razem zauważyliśmy na drodze prowadzącej na nasze łąki ślady kół, które kończyły się przy torfowisku. Potem okazało się, że jedną ze świętych figur Niemcy zatopili w wodzie w naszym torfowisku.

W czasie trwania okupacji pojawił się okólnik nakazujący wszystkim polskim dzieciom stawić się do szkoły. Ja się nawet ucieszyłam, że będę chodzić do szkoły. Nasza pani uczyła nas po niemiecku abecadła od pierwszej litery. Nauka pisania liter była bardzo trudna, gdyż były to litery gotyckie. Zarówno nasza pani, jak i pan uczący młodsze dzieci byli Polakami. Swoją panią wspominam jako osobę bardzo miłą i wspaniałą, a przy tym cierpliwie nam wszystko tłumaczącą. Najpierw nauczyłam się podpisać. Potem zmieniono nakaz i dalej uczyliśmy się po niemiecku, ale już nie liter gotyckich i było łatwiej. Wtedy zapisywaliśmy całe zdania, których znaczenie i sens nasza pani często objaśniała nam w języku polskim. Któregoś dnia pani powiedziała, że chce zacząć uczyć nas pacierza. Nakazała nam też, abyśmy nie pisali go w zeszycie, tylko na osobnych kartkach. Tym,

12 verdunkeln - zaciemnienie

którzy kartek nie mieli, pani dała swoje. Nauka pacierza odbywała się w tajemnicy i należało uważać, czy nie wejdzie do klasy jakaś kontrola. Uczyliśmy się po niemiecku „Vater unser”, czyli „Ojcze nasz”. Ten pacierz odmawialiśmy codziennie przez kilka tygodni. Musiał nas jednak ktoś podsłuchać i donieść władzom, że polskie dzieci po niemiecku odmawiają modlitwę. To pewnie Niemców bardzo razilo. Pewnego dnia jak zwykle nasza pani weszła do klasy, przywitała nas: „Guten Tag” i rozpoczęliśmy modlitwę¹³. Odmówiliśmy „Ojcze nasz” po niemiecku i wtedy rozległo się pukanie. Nasza pani odłożyła szybko dziennik na stolik i podbiegła do drzwi. Otworzyła je i wyszła na korytarz. Drzwi za nią ktoś zamknął, można powiedzieć, z hukiem zatrzaska, aż my dzieci przestraszone podskoczyliśmy w ławkach. Po chwili pani weszła do klasy i spokojnym, ale zmienionym, jakby nieswoim głosem, po polsku powiedziała nam, że dzisiaj lekcji nie będzie i że po cichu i powoli mamy wychodzić z klasy. Pani nas upomniwała, że jesteśmy w niebezpieczeństwie i mamy zachowywać się tak, jak nam powiedziała. Naszą panią zabrało gestapo¹⁴. Została wepchnięta do auta w stroju, w jakim była w klasie, choć była już zima. Obok była druga klasa, w której młodsze dzieci uczył nauczyciel. Słyszeliśmy, jak po krótkiej szamotaninie jego również zabrało gestapo, po drodze wyzywając: „schnell du alte Schwein”, czyli „szybko, ty stara świnią”. Wydarzenia te były dla wszystkich dzieci szokujące, a nazwanie nauczyciela, którego szanowaliśmy, „starą świnią” budziło w nas wewnętrzny bunt.

Po paru tygodniach Niemcy sprowadzili nowego nauczyciela aż z Hamburga. Ten niemiecki nauczyciel nazywał się Reinke. My dzieci myślałyśmy, że on będzie do nas wrogo nastawiony, ale tak nie było. Nauczyciel bardzo się zdziwił, że my polskie dzieci go rozumiemy. Widocznie nikt mu nie powiedział, że nasi polscy nauczyciele uczyli nas mówić i pisać po niemiecku. Odtąd zaczęły razem z nami do szkoły uczęszczać również dzieci niemieckie. Obawialiśmy się, że będzie między nami wiele nienawiści, ale tak się nie stało. Na lekcjach w klasie wszyscy mówiliśmy po niemiecku. W trakcie przerw dzieci niemieckie mówiły do nas po niemiecku i trochę po polsku. My zachowywaliśmy

13 Guten Tag - Dzień dobry

14 gestapo - tajna policja hitlerowska

się podobnie. To nie podobało się mieszkającym w naszej wiosce Niemcom. Wkrótce wymusili oni na nauczycielu, aby zakazał rozmawiania w trakcie przerw po polsku. Odtąd za mówienie po polsku groziła kara wyrzucenia ze szkoły.

Do niemieckiej szkoły chodziłam do kwietnia 1942 roku. Jeszcze rano w dzień naszej wywózki byłam w szkole.

Rozdział II

Wypędzenie i wywózka

Wysiedlono nas 30 kwietnia 1942 roku o godzinie dziewiątej wieczorem¹⁵. Było chłodno, a na dachach widać było szron. Ciszę wieczorną wokół zabudowań gospodarczych zakłóciło hałaśliwe ujadanie psów. Naraz rozległo się walenie butami w drzwi. Mama podeszła do drzwi i zapytała: „Kto tam?” Rozległ się krzyk: „Otwierać - tu policja niemiecka”. Mama otworzyła drzwi i wtedy weszło dwóch SS-manów ubranych w czarne mundury i wysokie czarne czapki z trupią czaszką¹⁶. Powiedzieli, że wszyscy domownicy są aresztowani. Padło też ostrzeżenie, że jeśli ktoś spróbuje uciekać, będą strzelać bez ostrzeżenia. Wydano rozkaz spakowania najpotrzebniejszych rzeczy. Niemiec, który nas wysiedlał, pochodził prawdopodobnie ze wsi Bukowiec, ale zachowywał się nadzwyczaj okrutnie. Nie pozwolił nam wziąć ani pierzyny, ani nawet koca. Później okazało się, jakie to miało ważne znaczenie dla naszego przetrwania. Moja mama, która doskonale знаła język niemiecki, rozumiała wszystko, co mówili Niemcy. SS-man

15 Wysiedlenia na Pomorzu następowały falami, ale nierytmicznie. Miały miejsce w grudniu 1939 roku, w listopadzie 1940 roku, w marcu 1941 roku oraz od stycznia do grudnia 1942 roku. W tym samym czasie, kiedy wywieziono rodzinę pani Bernadety Maciąg taki sam los spotkał na Pomorzu około 118 392 osoby, w tym do GG skierowano 53 119 osób. Zob. Szerzej: Cz. Madajczyk, *Polityka III Rzeszy w okupowanej Polsce*, t. 1., Warszawa 1970, s. 333 – 337.

16 SS-man - członek zbrojnych oddziałów niemieckiej nazistowskiej formacji paramilitarnej Schutzstaffeln (SS); (niem. Szwadron Ochronny). Oddziały te wykorzystywane były do akcji przeciwpartyzanckich, policyjnych i represyjnych. Po wojnie SS uznano za organizację zbrodniczą.

mówił mamie, że będziemy wywiezieni na inne gospodarstwo. Pytał się, ilu nas jest i zaraz wszystkich liczył. Potem wyjął listę, którą miał przy sobie, i wyczytał nasze imiona. Każdy z nas musiał głośno odpowiedzieć, że jest. Niemiec stale chodził po korytarzu i na cały głos krzyczał: „Schnell”, czyli szybko. Nie można było się nigdzie ruszyć, gdyż zaraz nas liczył. Wszyscy byliśmy chorzy ze strachu. Naprawdę nie wiedziałam, co się dzieje. To była pora iść spać, a nie pora na „przeprowadzkę”. Główny SS-man do pomocy wziął jeszcze sąsiada, Bezaraba, który już był na polskiej gospodarce, ale ten „Arab” na sobie miał też czarny mundur, czyli był esesmanem. Muszę tu wyjaśnić, że ten sąsiad tak naprawdę nosił nazwisko Neumann, ale wszyscy mówiliśmy na niego „Arab” lub „Bezarab”, ponieważ do naszej wioski został przesiedlony z terenów nieznanej nam Besarabii.

W nocy naszym własnym wozem zawieziono nas do miasta Jabłonowa. Wóz zaprzężony w nasze konie powoził kuczer,¹⁷ który był u jednego Niemca na służbie. Tak jechaliśmy 9 kilometrów do miasta, do hotelu, który przed wojną znajdował się naprzeciwko dworca kolejowego w Jabłonowie. Nie mogliśmy wejść do środka, bo było tam już bardzo dużo ludzi, poza tym każdy miał przy sobie jakiś worek z ubraniami. Wtedy Niemiec pchnął nas do środka, aż się przewróciliśmy. Nastąpił płacz i narzekanie, co oni teraz z nami zrobią. Myśleliśmy, że nas rozstrzelają, tak jak mojego ojca i sąsiadów.

Nad ranem, gdy było jeszcze ciemno, zaczęto nas wywozić z hotelu w Jabłonowie. Ładowano na odkryte samochody i znowu nas stłoczono. Staliśmy jak śledzie w beczce, jeden przy drugim. Z Jabłonowa zawieziono nas na dworzec kolejowy w Brodnicy. Tam samochody podstawiono pod rampę, której używano do załadunku świń, a ludzi wpędzono do wagonów towarowych¹⁸. Tu było słyhać tylko „szwargotanie” Niemców, którzy wołali: „Schnell!” Znowu nas niemożliwie stłoczono, więc tu i ówdzie słyhać było tylko płacz dzieci. Nie dano nam nawet wody do picia, nie mówiąc o jedzeniu.

17 kuczer - fernal, woźnica

18 rampa - pomost ustawiony najczęściej wzdłuż ściany hali przemysłowej, w porcie, kopalni, stacji kolejowej, w okresie okupacji w obozie koncentracyjnym itp. Ułatwia załadunek i wyładunek materiałów, zwierząt, ludzi.

Ruszyliśmy w dalszą drogę. O której godzinie wyjeżdżaliśmy, nie wiem, gdyż w naszym wagonie nikt nie miał zegarka. Było widno, ale słońca nie widzieliśmy, bo wagony były zaplombowane. Do patrzenia mieliśmy tylko szparki pomiędzy deskami. W wagonie byliśmy wspólnie ze znajomymi - z rodziną Kurowskich pochodzących z Buku Góralskiego. Kiedy pociąg zatrzymywał się na dworcu, to nasłuchiwalismy, jaka to miejscowość. Jechaliśmy przez Golub-Dobrzyń, Kowalewo, Toruń, Bydgoszcz, a dalej Nakło nad Notecią. Tam nas zastała ciemna noc, bo na każdym dworcu był kilkugodzinny postój.

W Nakle otworzono wagony i wtedy ujrzelismy po bokach jezdnii bardzo wielu SS-manów. Stali z bronią na ramionach, a myśmy wchodzili w środek, pomiędzy rzędy SS ustawieni w czwórki. Po chwili ruszyliśmy w drogę, która wiodła przez same pustkowia, przez pola i łąki. Gdy ktoś coś powiedział, to zaraz esesmani wołali: „Mund halt”, czyli zamknąć buzie.

Droga była piaszczysta, więc nam zupełnie zaschło w ustach, zwłaszcza że już minęła doba bez picia. Ale Pan Bóg nam dał siły, że przeszliśmy 8 kilometrów i doszliśmy do Potulic.

Rozdział III

W starym obozie

Do Potulic dotarliśmy 1 maja 1942 roku.

Przed bramą obozu byliśmy znowu wyczytywani i liczeni przez tego samego SS-mana, który nas zabrał z naszego gospodarstwa. Pozostali SS-mani, którzy nas wieźli i prowadzili do obozu Potulice, odjechali. Pilnowanie przejęła obozowa warta.

Wkrótce przeszliśmy przez bramę. Ponownie przeprowadzono kontrolę w „pęczkach”¹⁹. SS-mani wyrzucali na ziemię wszystko z worków, nawet bieliznę, głośno się przy tym śmiejąc. Ta chwila

19 pęczki -spakowane i związane rzeczy osobiste; inaczej tobołki lub podręczne bagaże

przeszukiwania była okropna, chyba wszystkim w oczach stanęły łzy. Potem kapo²⁰ o nazwisku Wacławski znowu nas wyczytywał, liczył i wpisywał na listę wszystkich członków rodziny, abyśmy mogli odebrać przydział żywności. Następnie zaprowadził nas do środka zamku i pokazał, gdzie jest nasz kąt. To była dla nas tragedia. W tym kącie na ziemi leżało trochę słomy, a raczej brudnej sieczki. Długi na 2 metry, a szeroki na 1, 5 metra musiał wystarczyć dla 7 osób. Tam spaliśmy: mama Waleria - lat 46, brat Franciszek - lat 20, siostra Irena - lat 19, siostra Genowefa - lat 15, ja, Bernadeta - lat 14 oraz siostra Teresa - lat 12 i siostra Wanda - lat 7. Nadmienię, że w domu i później w obozie wszyscy zwracali się do mnie Basia, a nie Bernadeta.

Ponadto w naszej sali znalazły się rodziny: Genia Styś z mamą ze wsi Lembarg, Janka Król z siostrą ze wsi Konojady i jej wujek Natuszek, Staniszewscy i Murszewscy ze wsi Lembarg, Kurowscy z dziećmi z Buku Góralskiego, Józef Orzech z rodziną ze wsi Górale oraz Małkowscy ze wsi Bukowiec.

Od kapo dowiedzieliśmy się, że z obozu wolno napisać kartę do rodziny. Musiała być napisana po niemiecku i w zasadzie mogła zawierać tylko kilka zdań. Najczęściej wszyscy pisali, że są zdrowi i że jest im dobrze. Nie wolno było opisywać życia obozowego, w związku z tym karty nie zawierały prawdziwych informacji. Po pewnym czasie władze obozu zakazały pisanie kart. Dodam, że nie wolno było pisać listów, tylko właśnie taką kartę. Moja mama wysyłała taką kartę tylko dwa razy - do swojej siostry Zofii Zielińskiej z Rypina. Rodzina podczas naszego pobytu w obozie odwiedziła nas także dwa razy.

Po miesiącu nas „przemoniono” - tak o zmianie miejsca noclegu mówiono w lagrze - na drugą salę do góry²¹. Było tam trochę lepiej, gdyż na głowy nie sypała nam się ziemia i mieliśmy więcej miejsca do

20 kapo - więźniowie spełniający w życiu wewnątrzobozowym funkcje zwierzchnie i porządkowe w stosunku do pozostałych więźniów. Władza kapo nad więźniami była praktycznie nieograniczona. Z rozkazu SS-manów lub z własnej inicjatywy mogli bić, poniżać i okradać współwięźniów. Za odmowę wykonania rozkazu wydaną przez przełożonych zostawali pozbawieni swojego stanowiska i trafiali do bunkra lub byli rozstrzeliwani na miejscu.

21 lagier - z niem. Lager- obóz.

spania. Kapo na tej sali nazywał się Demski i prawdopodobnie pochodził z Wąbrzeźna. W obozie był z rodziną.

W pierwszych dniach pobytu nie chodziliśmy do pracy, ponieważ przez trzy dni dawano nam zastrzyki, które były bardzo bolesne. Na drugi dzień po zastrzyku nie mogłam unieść ręki do góry. Zastrzyki wszyscy otrzymywaliśmy w piersi. Nawet jeśli ktoś chciał, żeby zrobić mu zastrzyk w rękę, lekarz stanowczo odmawiał. Lekarz też tłumaczył, że zastrzyki mają nas ustrzec przed różnymi chorobami, zwłaszcza przed tyfusem, którego epidemia często wybuchała w obozie. Ponadto przez pierwsze dni poznawaliśmy regulamin obozowego życia. Pilnujący nas kapo zawsze przed przyjściem SS-mana ustawiał wszystkie dzieci w czwórki, a gdy nadchodził esesman krzyczał: „Achtung!”²² Wtedy natychmiast musieliśmy stanąć na baczność. Jeden z więźniów pouczył naszą mamę, co wolno w obozie, a czego nie. Wyjaśnił, że dzieciom absolutnie nie wolno biegać i hałasować. Po bliższym poznaniu dowiedziałyśmy się, że ten więzień nazywa się Stefan Masłowski i pochodzi z Warszawy. Do obozu w Potulicach został on skierowany z Stutthofu jako jeden z więźniów-fachowców.

Po trzech dniach wyruszyliśmy do pierwszej pracy. Pobudka była o godzinie szóstej rano. Na „śniadanie” każdy więzień otrzymał pół litra niesłodzonej czarnej kawy tzw. żołędziowej z mieszanki zbóż. Po śniadaniu odbyła się zbiórka poszczególnych kolumn. Kapo jak zwykle ustawił nas w czwórki. Przybyły SS-mann Kolman liczył nas, a następnie zapisał liczbę wyruszających do pracy w zeszycie. Wymarsz do pracy nastąpił o godzinie siódmej rano. Po pracy esesman ponownie przeliczył wszystkie dzieci i sprawdził, czy stan powracających jest taki sam, jak wychodzących do pracy. I tak zaczął mijać dzień za dniem.

Latem 1942 roku pracowałam razem z innymi dziećmi i młodzieżą przy zbieraniu gałązek po wycince drzew w lesie. Musieliśmy te gałązki przyciągnąć do obozu, na plac przy kuchni. Tam starsze panny musiały porąbać gałązki, a reszta wyruszyła po następną partię. Po lagrowym odżywianiu była to ciężka praca. Sama czułam, że po wydłużającym się pobycie w obozie coraz bardziej słabnę. Od wycinki lasu Niemcy rozpoczęli przygotowania placu pod budowę

22 Achtung - uwaga, baczność

nowego lagru. Prace postępowały szybko. Już pod koniec 1942 roku kończono budowę jedenastego baraku²³.

Czasami byliśmy kierowani do noszenia desek. Działo się tak wtedy, kiedy ładunek z materiałami do budowy nowego obozu przypłynął na barce. Dzieci dwójkami brały po jednej desce i zносиły na plac do obozu. Inne materiały, takie jak cegły, transportowali mężczyźni. Cegły przybywały w postaci dużych „rolek”, które więźniowie pchali do obozu na płozach²⁴. Czterech mężczyzn pchało jedną płożę, a i tak był to nadludzki wysiłek, zwłaszcza że początkowo prosta droga stopniowo wznosiła się pod górę, gdzie był rozłożony potulicki zamek.

Przez kilka dni wyjątkowo chodziłam wraz z innymi dziećmi zbierać jagody lub kamienie. Kamienie zbierałyśmy z pola i rzucałyśmy na gromadkę. Za nami szli mężczyźni, którzy wrzucali kamienie na wóz. Kamienie posłużyły do budowy baraków w nowym obozie. Generalnie wołałam zbierać kamienie niż jagody. Po obozowym, marnym wyżywieniu podczas zbioru jagód miałam zawroty głowy. Wyjście do lasu następowało wczesnym rankiem. Najpierw szliśmy kilka kilometrów pieszo, potem zbieraliśmy jagody i wieczorem wracaliśmy do obozu. Każde dziecko miało obowiązek uzbierać trzy litry jagód, co nie było łatwe. Zresztą wysyłający nas do pracy SS-man Kolman ciągle zwiększał obowiązkowy limit do zebrania. Pierwszego dnia dał nam trzy wiadra dziesięciolitrowe, drugiego cztery, a trzeciego dnia już pięć wiader. Oczywiście, nie byliśmy w stanie tyle uzbierać, co było wystarczającym powodem do bicia nas.

W godzinach od dwunastej do czternastej była przerwa w pracy i wydawanie obiadu. Każdy więzień otrzymywał jeden litr zupy. Jej zawartość i smak zależał od pory roku i rodzaju rośliny, z której gotowano obiad. W pełni lata zupy były przeważnie z rozmaitych zielonek, które często były sfermentowane. Zielonki te leżały na

23 Budowę nowego obozu rozpoczęto już od jesieni 1941 roku i początkowo prowadzono siłami sprowadzonych z Stutthofu więźniów- fachowców, którym pomagali miejscowi więźniowie.

24 Wyraz „rolki” w tym przypadku można wytłumaczyć współczesnym określeniem rolki transportowe lub palety, które spotykamy do przemieszczania ciężkich ładunków na składach budowlanych.

gromadzie przy kuchni. Często też był obiad z brukwi, która zwykle nie była miękka, tylko twarda. W zupie nigdy nie było widać ziemniaków, choć moja mama z innymi kobietami obierała ziemniaki. Jednak nie dostawali ich więźniowie. Czasem udało mi się ukraść surowego ziemniaka albo marchew czy brukiew. Miałam wtedy wielką frajdę i możliwość dożywienia.

O godzinie czternastej był apel i wszystkie kolumny wychodziły do pracy. Z przodu szedł kapo, który prowadził kolumnę, a z tyłu za więźniami szedł wachman z bronią na ramieniu²⁵. Zadaniem kapo było nadzorowanie wykonywanej przez więźniów pracy, a zadaniem strażnika pilnowanie i reagowanie podczas próby ucieczki.

Powrót do lagru następował o godzinie dwudziestej, a zimą o dziewiętnastej. Po pracy otrzymywaliśmy jednorazowo całodzienny przydział żywności: jak zwykle pół litra czarnej kawy zbożowej, dwie sznytki chleba dla jednej osoby oraz dla nas siedmiu (dla całej rodziny) równa łyżka marmolady i mała kosteczka margaryny. I tak było przez wszystkie dni pobytu w obozie.

Pewnego razu chciałam jeden dzień odpocząć i nie poszłam do pracy. Powodem było też złe samopoczucie: dokuczający mi ból żołądka oraz biegunka. Zresztą po takim jedzeniu wszyscy więźniowie mieli takie właśnie dolegliwości. Wkrótce okazało się, że wybrałam zły dzień, gdyż Niemcy zrobili nagonkę na dzieci, które nie poszły na zbiórkę. Wszystkie dzieci ukrywające się przed wyjściem do pracy zaczęto wylapywać i gromadzić na placu apelowym. SS-mani szli na nas z kijami i trzaskali po drzewach, aby wypłoszyć tych, którzy się schowali w krzewach. Potem wpędzili nas do korytarza przy kantynie²⁶. Tam były skrzynie od lemoniady. Kazano nam się na te skrzynie pochylić i nas bito. Dziewczynom dano po pięć biczów, chłopcom po sześć. Przy tym nie wolno było ani krzyczeć, ani płakać, bo wtedy esesman kazał nas bić od nowa. W całej tej opisanej akcji brali udział: SS-man o nazwisku Kolman oraz kapowie o nazwiskach Granica,

25 Wachmann - strażnik, wartownik

26 kantyna - miejsce sprzedaży artykułów pierwszej potrzeby jednostce wojskowej np.: papierosów, prasy, środków czystości; może być połączone z gospodą lub bufetem.

Nowak i Mówiński. Można ich było rozpoznać po białoniebieskich opaskach noszonych na rękawach.

Innym razem też nie poszłam do pracy, ale powodem nie była choroba, tylko okropne zmęczenie. Po prostu byłam tak zmęczona, że nie zareagowałam na pobudkę. Moje siostry, nie mogąc mnie dobudzić, po prostu mnie zostawiły i poszły do pracy. Nagle do naszego „pokoju” z kontrolą wpadł SS-man Kolman. Wtedy miałam szczęście w nieszczęściu. Na łóżku siedział mój brat (on nie chodził do pracy za drutami, zatem mógł przebywać w pomieszczeniach zamku) i esesman za jego plecami mnie nie zauważył. Po wyjściu Kolmana zerwałam się na równe nogi i tak jak stałam, bez butów, wybiegłam z budynku. Niewiele myśląc, pobiegłam w kierunku baraków zwanych „psimi budami”, ale tam natrafiłam na kapo o nazwisku Nowak. Chwycił mnie, ale wtedy w mojej obronie odezwały się dwie starsze panie, więc kapo zrezygnował z wymierzenia mi kary.

W trakcie mojego pobytu w starym obozie miały miejsce jeszcze dwa inne zdarzenia. Ich bohaterami byli pilnujący nas, więźniów - wartownicy. Generalnie, jedni wartownicy byli źli, inni trochę bardziej życzliwi wobec więźniów. Niektórzy nawet chętnie słuchali obozowych piosenek, które śpiewały dziewczęta pracujące w ogrodnictwie. Czasem, kiedy dziewczyny nie śpiewały, wręcz dopominali się o piosenki. Większość wartowników rozumiała po polsku, chociaż nigdy na polskie zapytania nie odpowiadano, ponieważ obowiązywał tylko język niemiecki. Sytuacja w relacjach więźniów z wartownikami zmieniła się, kiedy jako wachmani przybyli Niemcy z Besarabii, a później ukraińscy faszyci. Wraz z pogarszającą się sytuacją hitlerowskich Niemiec na wojnie strażnicy stawali się coraz bardziej nerwowi.

Ja jednak chcę opowiedzieć o moich dwóch bezpośrednich kontaktach z wartownikami. Cały czas podczas pobytu w obozie czułam się źle. Jednego razu bolał mnie brzuch (zresztą nie pierwszy raz) i miałam taką biegunkę, że nie byłam w stanie pracować. Dodam, że jakiegokolwiek oddalenie się w uboczne miejsce groziło karą. Ponadto pracę więźniów kontrolował także leśniczy, który jeżdżąc na koniu sprawdzał, czy las i droga przemarszu więźniów nie są zanieczyszczone. Po obiadowej przerwie postanowiłam, że nie pójdę do pracy. Została ze

mną moja młodsza siostra Teresa. Ukryłyśmy się w krzewach, nieopodal miejsca, gdzie suszono bieliznę i gdzie stała strażnica. Cicho siedziałyśmy na pieńkach, gdy nagle usłyszałyśmy krzyki i nawoływania. Zorientowałyśmy się, że to Niemcy przeszukują teren, aby znaleźć tych, którzy nie poszli do pracy i się ukrywają. Moja siostra Teresa ze strachu zaczęła krzyczeć i lamentować. Usłyszał to wartownik. Kazał nam podejść i zapytał, dlaczego płaczemy. Wachman otworzył bramę i za nią kazał nam się ukryć w krzakach. Pomyślałam, że już po nas. Jednak kiedy nagonka ustala, wartownik otworzył bramę i wskazał ręką, że możemy wyjść. Ani ja, ani moja siostra nie wydobyłyśmy z siebie żadnego słowa i nie powiedziałyśmy mu choćby „danke schön”, czyli dziękuję.

Inny wartownik oddał nam piłkę, w którą czasami grałyśmy. Akurat tego dnia, kiedy koleżankom uciekła piłka, ja w nią nie grałam, ale zostałam poproszona o jej odzyskanie, bo spośród wszystkich dziewcząt znałam język niemiecki i mogłam porozmawiać z wachmanem. Najpierw poszłyśmy zbadać grunt i przyjrzeć się wartownikowi. Dodam, że w piłkę nie wolno było grać na głównym placu, tylko w miejscu koło ubikacji. Poszłyśmy i ukryłyśmy się za pomnikiem (stał tam duży posąg Jezusa Chrystusa - pozostałość po przynależności potulickiego zamku do zakonu franciszkanów), aby móc poobserwować strażnika. W końcu zdobyłam się na odwagę, podeszłam i powiedziałam po niemiecku wartownikowi, że piłka uciekła nam pod druty. W obozie obowiązywał zakaz zbliżania się więźniów na trzy metry do drutów, zatem tylko wartownik mógł nam tę piłkę podać. Po chwili piłka już była obok mnie. Tym razem powiedziałam danke, czyli dziękuję i pobiegłam. Gra w piłkę, w dwa ognie, była moją ulubioną grą, ale niestety często brakowało na nią sił. Zresztą po zaostrożeniu rygoru nikt w obozie w piłkę już nie grał.

W styczniu 1943 roku rozpoczęły się wywózki na roboty. Najpierw wywieziono mojego brata do pracy, do fabryki samolotów w Pile. Przedtem w obozie pracował on przy wywozie nieboszczyków i zakopywaniu ich na terenie przyległego majątku. Na drugi dzień po wywiezieniu brata zabrano siostrę Irkę, którą wysłano do majątku Chrzastkowo (położonym 3 km od Nakła nad Notecią). Potem do pracy na majątek Wyrza w powiecie wyrzyskim wzięto moją mamę. W obozie zostałyśmy tylko my - dzieci: siostra Genia - lat 16, ja, Bernadeta - lat

15, siostra Teresa lat - 13 i siostra Wanda - lat 8. Na drugi dzień po zabraniu naszej mamy przegnano nas na dół, na inną salę, w której były dzieci i byli starcy. Kiedy zostałyśmy bez naszej mamy, poczułam się załamana i przerażona, bo nie wiedziałam, co stało się z pozostałymi członkami rodziny i czy jeszcze żyją. Nasz nowy kapo o nazwisku Anolik przekazał nam wiadomość, że Niemcy planują wywieźć wszystkie dzieci oraz osoby starsze. Nasz strach wzmagał się, bo bardzo dużo dzieci i osób starszych przywieziono z obozu w Smukale, a potem dowieziono wszystkich ze zlikwidowanego obozu w Toruniu, z tak zwanej Szmalcówki. W olbrzymim strachu przed wywózką, bo przypuszczaliśmy, że mogą nas wywieźć do Oświęcimia, żyliśmy od stycznia do czerwca 1943 roku. Po pewnym czasie do starego obozu w Potulicach przywieziono Żydów. Uważam, że to uratowało nas od wywózki.

W sali na dole były gorsze warunki niż tam, gdzie mieszkaliśmy poprzednio z całą rodziną. Przede wszystkim uciekało nam ciepło. Byłam bardzo przeziębiona i starsza pani, która się nami opiekowała, zaprowadziła mnie do szpitala, do lekarza. Bardzo bałam się iść do lekarza, ale okazało się, że on pomógł mi i ulżył w chorobie. Pani opiekunka kazała też koleżance, która spała obok mnie, aby wzięła mnie pod swoją pierzynkę. Ja i moje siostry miałyśmy tylko jedną pierzynę, więc o należyтым okryciu się czterech osób nie mogło być mowy²⁷. Ta koleżanka, z którą spałam, nazywała się Genia Jendrasiak. Dodatkowo jej brat pilnował w nocy, czy na pewno jestem przykryta. To była prawdziwa obozowa przyjaźń. Również naszą panią opiekunkę wspominam jako wspaniałą osobę, troskliwą jak prawdziwa matka.

W starym obozie najgorszym miejscem, w którym na szczęście nie było mi dane przebywać, były trzy baraki. Nazywano je „psie budy”, choć na dachu psiej budy w gospodarstwie była papa, a obozowe „psie budy” miały tylko deski. Te baraki były okropnym miejscem dla człowieka, który spał w nich na ziemi. Woda lała się, a śnieg sypał przez „dach”. Pewnego razu koleżanka wzięła mnie do swojej „psiej budy”. Oglądając barak, powiedziałam do niej: „Patrz w dachu są

27 W dniu wywózki SS-man nie pozwolił rodzinie pani Bernadety Maciąg zabrać pierzyny, ale później w obozie rodzinie podarowali ją współwięźniowie.

szparki, to wam wiatr wieje”. Ona nic nie odpowiedziała, tylko się rozplakała. Po chwili wytłumaczyła mi, że jak pada deszcz, to po chwili wszystkie rzeczy są mokre i wszyscy śpią na mokrej podłodze. Nagle zauważyłam stojący na środku piec. Pamiętam, że był bardzo duży i pięknie wykonany, cały z cegły, a na wierzchu lśniła ocynkowana blacha. Odezwałam się do koleżanki: „Tak narzekasz, a masz piec”. Ona odpowiedziała: „Piec jest tak tylko na niby, zobacz, nie ma w nim ani drzwiczek, ani komina”. I rzeczywiście tak było. Dodatkowo w „psich budach” nie było również światła. Kiedy poznałam panujące w „psich budach” warunki, nie dziwił mnie już widok pierzyn suszonych w mroźne dni na słońcu. Lepiej po opadach śniegu było je wynieść na dwór niż mokre zostawić w baraku na ziemi.

Kto czyta moją opowieść, być może zastanawia się, czy komuś z obozu w Potulicach udało się uciec. Owszem, w starym obozie zdarzały się ucieczki. Niektóre z nich kończyły się sukcesem, inne nie. Uciekając, trzeba było pamiętać, że karę poniesie cała pozostawiona w obozie rodzina. Rodzinę uciekiniera zamykano w bunkrze, w lochach potulickiego zamku. Osoba skazana na śmierć w bunkrze nosiła żółte oznakowanie: kobiety żółte chustki na głowie, a mężczyźni żółte opaski naszyte na nogawkach spodni. Skazańcy wchodzili w skład tzw. Strafkolonne, czyli kompanii karnej i byli kierowani do najcięższych prac²⁸. Ciężka praca, głodowe racje żywnościowe oraz izolacja od grupy powodowały szybką śmierć. Do bunkra trafiały nie tylko rodziny zbiegłych więźniów, ale i osoby, które dopuściły się drobnych uchybień na rzecz regulaminu obozowego. Byłam świadkiem, jak najpierw pobito, a potem osadzono w bunkrze mężczyznę, który idąc na codzienny apel zbyt wolno zdejmował czapkę z głowy.

28 Strafkolonne dzielono na Erd - i Steinkolonne, czyli na kolumnę ziemną i kamieniarską. W obu panowała ostra dyscyplina i każde przewinienie było karane biciem.

Rozdział IV

W nowym obozie

W czerwcu 1943 roku przeniesiono nas do nowego obozu, który od starego był oddalony o trzy kilometry. Nowy lagier nazywał się Lebrechtendorf. Oczywiście, Niemcy wybudowali go dla swoich własnych korzyści, a nie dla wygody więźniów. Dla zarządu obozu wybudowano budynki biurowe, przed którymi znajdowała się swastyka III Rzeszy ułożona na ziemi z czerwonej i czarnej cegły. W biurach przebywali SS-mani oraz służba strażnicza. Przedtem w starym obozie do pisania na maszynie zatrudniano jeszcze dwie Żydówki. Można je było rozpoznać po noszonych na rękawach opaskach z gwiazdą Dawida. Potem kapo o nazwisku Granica do pisania przyuczył swoją córkę, a Żydówki usunięto, gdyż były już niepotrzebne.

Przy nowym obozie znajdowały się warsztaty, głównie zbrojeniowe, między innymi fabryka samolotów o nazwie „Hansenwerke”. Były w niej robione tylko części (skrzydła, kadłub, itd.), które następnie samochodami wywożono do Piły, gdzie składano samoloty. Dla dogodnego przewozu była wyznaczona szeroka droga pomiędzy barakami.

W nowym obozie przebywaliśmy w baraku numer 17, który służył jako ochronka dla dzieci²⁹. Nasz nowy kapo nazywał się Kamiński. Życie w nowym obozie było znacznie łatwiejsze niż w starym lagrze, ale tylko pod względem mieszkaniowym. Nie spaliliśmy na podłodze ani na ziemi, tylko mieliśmy trzypiętrowe łóżka i siennik ze słomą. W barakach było też cieplej niż na starym miejscu. W każdym mieszkano około 300 osób. Baraki były wyposażone w dwie umywalnie, oczywiście z zimną wodą. Wodę w kranach mieliśmy trzy razy dziennie: rano, w obiad i wieczorem. Była ona w kranach bardzo krótko,

29 ochronka dla dzieci - w obozie zorganizowana w celu zapewnienia opieki małym dzieciom, których matki wychodziły do pracy na cały dzień lub opuszczały obóz na dłuższy okres czasu

dlatego trzeba było szybko zjeść obiad i biec do umywalni obmyć naczynia. Były też ubikacje – niezasłonięte muszle klozetowe, bez desek siedzeniowych. Mimo to i tak było lepiej niż w starym lagrze, gdzie chodziliśmy aż za górkę i tam swoje fizjologiczne potrzeby załatwialiśmy „bez drag”, i to w dodatku na wietrze³⁰. Co tydzień wszyscy byliśmy kapani, a nasze rzeczy były odparowywane, czyli odwszawiane.

W nowym lagrze podłogi szorowane były codziennie. Każdy dbał o czystość w swoim pokoju. Raz w tygodniu była kontrola - przegląd czystości we wszystkich barakach. Lagrowemu generałowi zawsze towarzyszył kapo odpowiedzialny za dany barak. Kontrola mogła być nawet o godzinie dziewiątej wieczorem, kiedy już leżeliśmy w łózkach. Generalnie w nowym lagrze zawsze żyliśmy w strachu. W godzinach pracy nie wolno było chodzić do drugiego baraku, bo warta zaraz zatrzymywała i już do swojego baraku się nie wróciło. Chodzić było wolno, ale tylko wtedy, gdy wszyscy wrócili z pracy i tylko do godziny dziewiątej wieczorem.

Nowy lagier był ogrodzony potrójnymi drutami, pomiędzy którymi chodzili esesmani. Środkowe druty nie były kolczaste, ale za to pod prądem. Pod każdym barakiem był wkopany metrowy betonowy słup, który miał służyć do wkładania min. Miało to prawdopodobnie umożliwić zniszczenie całego lagru łącznie z przebywającymi w barakach więźniami. Takie informacje przekazał nam nasz kapo. Z nowego lagru nikt już nie uciekł. Oprócz zabezpieczeń wzmocniono wartę i co parę kroków ustawiono wartownię. Często służbę pełnili SS-mani ukraińskiego pochodzenia.

Najcięższa sytuacja była w dalszym ciągu z jedzeniem, którego nie przybyło, a warunki do zdobycia czegokolwiek na własną rękę były znacznie trudniejsze niż w starym obozie.

W nowym lagrze nie chodziłam poza druty, tylko pracowałam na terenie obozu. Z tego powodu nie obowiązywało mnie codzienne stawianie się na porannym apelu. Byłam sprzątaczką u kapo Kamińskiego. Szorowałam podłogi i korytarz do naszego pokoju oraz

30 bez drag - prymitywna toaleta ograniczająca się zaledwie do umieszczenia deski i żerdzi nad dołem

opiekowałam się młodszym rodzeństwem. Rok starsza ode mnie siostra Genia (lat 16) sprzątała w łaźni.

Pewnego słonecznego dnia porządkowy, czyli kapo naszego baraku, powiedział, że rano po kawie wszyscy mamy stawić się na placu apelowym. Ogarnął nas strach, zwłaszcza że poprzedniego dnia do lekarza prowadzeni byli Żydzi. W tym czasie ja sprzątałam korytarz, a żona kapo Kamińskiego powiedziała mi, że Żydzi przebywający w starym lagrze w zamku wyjątkowo będą prowadzeni przez nowy obóz do lekarza. Od niej dowiedziałam się też, że kiedy Żydzi nauczyli szyć kozuchy polskie dziewczyny, to ich tak na niby zaprowadzono do lekarza. Szły całe żydowskie rodziny. Za naszymi barakami: 17. i 18. był szpital i tam ich zaprowadzono. Dalej widziałam, jak wyszedł na dwór do Żydów lekarz i tylko na nich popatrzył. Potem Żydzi z powrotem ruszyli do starego obozu, do zamku w Potulicach.

Pomimo strachu poszłam na plac apelowy. Był tam już łagrowy generał oraz lekarz. Ustawiono nas po dwóch w szeregu. Podobnie jak w przypadku Żydów badanie miało się odbyć na dworze. Kapo krzyknął: „Achtung” i nastąpiła cisza. Lekarz zabrał głos i po polsku, gdyż sam był Polakiem, wytłumaczył nam cel badania. Powiedział, że każdego będzie pytał, czy czuje się chory i co mu dolega. Osoby, które powiedzą, że są chore, wyjdą na wolność. Odpowiadać należało na placu w obecności niemieckiego generała. Mówienie o wolności oczywiście było kłamstwem. Ja to wiedziałam od naszego kapo, który mówił, że po takich badaniach Niemcy wywożą gdzieś osoby chore. Kapo przypuszczał, że jest to jakieś niebezpieczne miejsce. Zatem kiedy przyszła kolej na mnie, odpowiedziałam, że jestem zdrowa. Jednocześnie słyszałam, jak inni mówili, że są chorzy i cieszyli się, że wyjdą na wolność. Były to osoby niezorientowane, jakie niebezpieczeństwo im grozi. Niemiecki generał był wręcz zadowolony, gdy ktoś podawał, że jest chory. Od czasu do czasu generał rozkazywał niektórym kobietom szybko iść, bo chciał sprawdzić, czy nie są kulawe. Jeśli się któraś tylko lekko potknęła, to natychmiast kazał jej pójść do lekarza i dodatkowo zapisać się na listę.

Wszystkich Żydów oraz zapisanych na liście chorych Polaków (kobiety, mężczyźni, dzieci) wywieziono w nieznanym kierunku, prawdopodobnie do Oświęcimia. Z mojej wsi, z Lembarga wywieziono

dwóch mężczyzn: Józefa i Ignacego Stawskich. Obaj nigdy nie powrócili na swoje gospodarstwa, więc ta rzekoma wolność była jednym wielkim kłamstwem. Z mojego baraku wywieziono jedną kobietę, która była kaleką i chorowała na anemię.

Lekarz dokonujący badań nazywał się Szafrąński. Był niewinny, gdyż został przez Niemców zmuszony zarówno do badań jak i do kłamstwa, że chorzy wyjdą na wolność. Wiem, że gdyby doktor Szafrąński tego nie zrobił, sam naraziłby się na karcer i śmierć³¹. Wszyscy obozowi lekarze próbowali nam - więźniom pomagać, na ile w istniejących warunkach mogli. To właśnie doktor Szafrąński wyleczył mnie kilka miesięcy wcześniej, jeszcze w starym obozie.

Po badaniu zdrowych ludzi ustawiono po prawej stronie, a chorych po lewej, po czym padł rozkaz o rozejściu się do baraków. Jednej z kolejnych nocy nasz kapo przekazał wiadomość, że wszyscy, którzy podczas badania mówili, że są chorzy, mają spakować swoje rzeczy. Obok drutów naprzeciw baraku stała warta i krzyczała: „Los aus!”, czyli „Jazda stąd, precz!” Wszyscy czuliśmy, że coś jest nie tak. Zadawaliśmy sobie pytanie, dlaczego wywożą ich w nocy i szybko znaleźliśmy odpowiedź. Głównie dlatego, żeby nie wiedzieli, dokąd jadą. Na drugi dzień nasz porządkowy powiedział do mnie, że uczestniczył w załadunku tych ludzi. Stwierdził też, że cała sprawa jest dziwna. Najpierw SS-mani załadowali do samochodu ludzi, jednego przy drugim, przy czym zakazali zabierać ze sobą jakiegokolwiek pakunki, nawet najmniejszą torebkę. Wszystkie rzeczy załadowano osobno na przyczepę. Gdy samochody miały odjeżdżać, esesman rozkazał, żeby kapo odczepił przyczepę. Samochody z Żydami i Polakami odjechały, a wtedy SS-man powiedział do kapo, że rzeczy nie będą im potrzebne, bo oni jadą na „Himmel Komando”, czyli „jadą do nieba”³². Niemiec

31 karcer - cela więzienna o znacznie surowszych warunkach, małej powierzchni, często pozbawiona otworów okiennych i jakiegokolwiek cywilizowanego miejsca do snu. Umieszczenie więźnia w karcerze stanowi dodatkową karę za przewinienia.

32 W wyniku selekcji przeprowadzonej w grudniu 1943 roku wybrano 50 więźniów (osoby chore, kalekie i ułomne) i wywieziono prawdopodobnie do obozu koncentracyjnego na Majdanku, gdzie zostały zagazowane. Świadkowie wspominają też o drugiej selekcji więźniów przeprowadzonej

stwierdził, że piece w krematorium mają tak duże i wysokie kominy, że wszyscy od razu pójdą do nieba. Nie rozumiałam, jak Niemiec mógł coś takiego mówić do Polaka. Te słowa dla nas - pozostałych więźniów były przerażające, bo wiedzieliśmy, że następnym razem mogą zabrać nas. Niestety, nikt z Polaków, nawet kapo, nie mógł nic zrobić. Gdyby na przykład nie odczepił przyczepy, dałby Niemcom pretekst do umieszczenia go w karcerze i skazania na śmierć.

W czerwcu 1943 roku żona kapo Kamińskiego opowiadała mi o tym, jak z „maciarni” zabrano dwanaście dziewczyn za śpiewanie obozowych piosenek. Może wyjaśnię, że maciarnia to miejsce, w którym dziewczyny wyplatały maty ze słomy. Tam też można było zdobyć nowe papcie, których bardzo mi brakowało. Ja już wtedy chodziłam w butach rozciętych z tyłu, ponieważ były na mnie za małe i mnie uciskały. Niestety, pilnująca dziewczyn kobieta kapo z krzykiem wyrzuciła mnie i moją siostrę z budynku. Świadkiem tego była żona kapo Kamińskiego. I wtedy opowiedziała mi o zabranii i skazaniu dziewczyn na śmierć. Dodam, że wszyscy więźniowie śpiewali piosenki i modlili się, ale robili to w tajemnicy, by nie narazić się na karę.

Opisując pobyt w nowym obozie, muszę wspomnieć towarzyszy niedoli. W baraku numer 17, czyli w ochronce dla dzieci przebywali: kapo Kamiński z żoną i dwiema córkami: Bożeną i Marylą. W moim pokoju jako współwięźniowie: rodzina Załęskich w składzie Łucja, Janek, Gienek i Jadzia ze wsi Białobłoty, Teresa Gwizdek, również z Białobłot oraz ja wraz z trzema siostrami. Przebywała też w naszym baraku pani Burek pochodząca z okolic Lipinek, która w niewoli urodziła małego synka i była nie tylko dla niego, ale i dla nas wszystkich wspaniałą matką i opiekunką. Ponadto zaprzyjaźniłam się bliźniaczkami: Łucją i Cecylią Lewandowskimi. One wzięły mnie do spania pod swoją pierzynę, bo moja rodzina nadal miała tylko jedną na cztery osoby. Co prawda ja i moja młodsza siostra próbowałyśmy spać pod płaszcami, ale było nam jednak zbyt zimno. Jedna z sióstr Lewandowskich spała ze mną, a druga spała w nogach, bo łóżka były

w listopadzie 1944 roku, w wyniku której wywieziono z Potulic 84 osoby chore i niezdadne do pracy. Pani Bernadeta Maciąg nie była świadkiem tej drugiej selekcji, ponieważ przebywała w majątku Wyrza poza obozem. Zob. szerzej: T. Samselski, op. cit., s. 186.

bardzo wąskie. Z koleżankami spałam tak od czerwca do grudnia 1943 roku. W grudniu wróciła do obozu moja mama.

Rozdział V

Wieś Wyrza w powiecie wyrzyskim

Na początku grudnia 1943 roku z pracy w majątku wróciła moja mama. Wraz z nią do obozu powróciło jeszcze około dwadzieścia kobiet. Mama mówiła, że wkrótce pojedziemy do tego majątku całą rodziną. Nie chciałam jej wierzyć. Bałam się, bo zdarzały się takie przypadki, że kogoś pojedynczo wywożono w las i ta osoba nigdy już do obozu nie wróciła. Po dwóch tygodniach od powrotu mojej mamy, po porannej kawie przyszedł do naszego pokoju kapo i kazał nam natychmiast spakować wszystkie nasze rzeczy. Zaprowadził nas do biura, a tam SS-man kazał nam usiąść w poczekalni i czekać. Co chwilę otwierał małe okienko i liczył nas po niemiecku, i to na cały głos: eins, zwei, drei, vier, fünf, gdyż z mamą było nas pięcioro³³. Sytuacja ta powtarzała się kilkakrotnie. Mama upominała nas, abyśmy nie rozmawiały. I tak w milczeniu przesiedziałyśmy do wieczora. Ja do mamy szeptałam ze strachem, że nas stąd nie wypuszczą, że to koniec. Wieczorem ogarnął nas jeszcze większy strach. Mama zaczęła powoli wierzyć, że moje słowa się sprawdzą i kazała nam po cichu odmawiać modlitwę „Aniele, Strózu mój”. Późnym wieczorem z biura wyszedł esesman, nakazał nam zabrać nasze rzeczy i iść za nim. Prowadził nas w kierunku bramy. Wartownik otworzył bramę, a w nas rósł coraz większy strach, bo było już ciemno. Po przekroczeniu bramy SS-man powiedział do nas „Keine Angst”, czyli że nie mamy się bać. Niedaleko lagru pod drzewem stała furmanka na gumowych kołach. Mama poznała, że to furmanka z majątku, w którym pracowała. Esesman przekazał nas kuczerowi o nazwisku Paluchowski. On pomógł nam zapakować rzeczy i ruszyliśmy w drogę. Jechaliśmy, a ja nadal nie wierzyłam, że opuściliśmy obóz i jesteśmy na wolności. Wszyscy też słuchaliśmy, czy nie jadą za nami SS-mani, aby nas gdzieś w lesie zamordować. Woźnica zaczął rozmawiać z naszą mamą. Powiedział, że kiedyś wcześniej też

33 eins-zwei-drei-vier-fünf - jeden-dwa-trzy-cztery-pięć

był w obozie w Potulicach, ale wtedy nie było jeszcze takiej bramy i takich zabezpieczeń. Powiedział też, że postanowił pod bramą obozu czekać za nami do końca dnia, chyba żeby go Niemcy przegonili. Widział, że SS-man co jakiś czas otwierał bramę i sprawdzał, czy przypadkiem nie odjechał. Mama opowiedziała mu o naszym wyczekiwaniu w poczekalni. I tak dojechalismy szczęśliwie do majątku znajdującego się we wsi Wyrza.

Na drugi dzień przyszedł właściciel tego majątku i pytał moją mamę, dlaczego nas tak długo trzymano. Powiedział, że aby skłonić władze obozowe do zwolnienia naszej rodziny, dał na rzecz obozu kilka świń. Miała to być forma pozyskania przychylności zarządu obozu. Poinformował też moją mamę, że przez te dwa tygodnie jej pobytu w obozie codziennie telefonował do obozowych władz i interweniował w jej sprawie. W biurze lagru zawsze odpowiadano mu, że muszą być dopełnione wszystkie formalności. Mama wyjaśniła, że o zwolnienie nas z obozu starała się też jej rodzina, ale bez rezultatu. Do wniosku o zwolnienie należało dołączyć opinię dwóch sąsiadów, oczywiście Niemców. Niestety, oni napisali, że jesteśmy niebezpieczni dla Niemiec. Te opinie spowodowały, że nasza rodzina miała tak duże problemy z uzyskaniem zgody na wyjazd do pracy poza obozem. Pan majątku, kończąc rozmowę, dodał, że u niego pracują już dwie rodziny, które były w obozie w Potulicach. Na majątku wspólnie z siostrą Genią pracowałam w ogrodnictwie. W zimie pracowałyśmy w podwórzu, a moja mama zatrudniona była przy kurach. Przebywałyśmy tam do końca wojny.

Rozdział VI

Koniec wojny i powrót do domu

Kiedy nastał rok 1945 i skończyła się niemiecka okupacja, nadal pracowałyśmy na majątku i nie wracałyśmy do domu, ponieważ do kwietnia 1945 roku przez drogi i mosty nie przepuszczano cywilów.

W momencie zbliżania się polskiego wojska wszyscy Niemcy wyjechali, obawiając się, by ich nie spotkało to samo, co urządzili nam, czyli obóz. Odjeżdżając, zabrali ze sobą konie. Chcąc dostać się do

Nakła nad Notecią zaprzęglyśmy do wozu woły. Nasz wyjazd nastąpił dopiero 20 kwietnia 1945 roku. Na dworcu kolejowym spotkałyśmy pana Stefana Masłowskiego z Warszawy, który w starym obozie mieszkał w sali nad nami. Później został on przewieziony do Stutthofu, gdyż w 1939 roku brał udział w walkach z Niemcami.

Z Nakła pojechaliśmy do Bydgoszczy i zaraz tym samym transportem do Torunia. Dworzec Główny był zniszczony, a poczekalnia bez dachu. Stałyśmy więc na peronie i czekałyśmy na przyjazd jakiegokolwiek pociągu. W zasadzie zabrać można się było tylko z transportem wojska. Nagle podszedł do naszej mamy polski żołnierz, który spytał, dokąd jedziemy. Zaproponował, że na noc zaprowadzi nas do baraku. Mama zgodziła się tam pójść. W baraku panował tłok, a ludzie spali na podłodze. Żołnierz polecił, abyśmy usiadły na swoich rzeczach na podłodze w ganku³⁴. Pomimo ścisku byłyśmy zadowolone, bo przynajmniej noc przespaliśmy w ciepłym pomieszczeniu. Następnego dnia rano z Dworca Głównego w Toruniu poszłyśmy pieszo przez most, częściowo zniszczony, na drugi brzeg Wisły. Stamtąd szłyśmy przez całe miasto na dworzec kolejowy Toruń Mokre³⁵. Na sam most nie było się łatwo dostać, gdyż przechodzących kontrolował rosyjski żołnierz, który żądał okazania dokumentów. Na szczęście mama miała dokumenty, które były wystawione przez polskiego urzędnika po przejęciu przez niego majątku po Niemcach. Ważne, że było w nich wskazane miejsce zamieszkania naszej rodziny. Zaciekawilo mnie, że rosyjski żołnierz przekręcał dokumenty w różne strony. Wyglądało to tak, jakby nie wiedział, jak je czytać.

Z Torunia Wschodniego dojechaliśmy tylko do Kowalewa Pomorskiego, gdyż pociąg dalej jechał w innym kierunku. Wieczór i noc spędziłyśmy w poczekalni. Rano nadszedł pociąg przeznaczony dla wojska. Nikt nie zwracał na to uwagi. Wszyscy cywile wsiedli do pustego wagonu i w nim siedzieli do godzin wieczornych. Wieczorem pojawił się rosyjski żołnierz, który zaczął nas wyganiać z wagonu i krzyczeć, że tu będą jechać rosyjscy żołnierze. Poczuliśmy się dotknięte, że nie znalazł zrozumienia dla naszych wojennych losów i naszej tułaczki. Słowa: „Ubieżaj, to nie wasze tylko nasze” bardzo nas

34 ganek - tu długi korytarz prowadzący do wnętrza budynku

35 Toruń Mokre to obecnie Toruń Wschodni

zabolały. Ostatecznie Rosjanin pozwolił nam usiąść w wagonach załadowanych węglem. Wszyscy rozpoczęliśmy „przeprowadzkę” na wskazane wagony. Nasza rodzina zorganizowała sobie system załadunku „pęczków”, które przy sobie miałyśmy. Ja stałam na dole i podawałam je mojej mamie, która stała w połowie wagonu. Mama otrzymane rzeczy przekazywała do góry, skąd odbierała je moja siostra Irka³⁶. Wszystko szło sprawnie, jednak wkrótce okazało się, że zginął jeden pęczek, w którym znajdowały się właśnie moje rzeczy. Innym osobom podróżującym z nami również coś zginęło. Przypuszczaliśmy, że ukradli je rosyjscy żołnierze. Bardzo żałowałam skradzionych rzeczy, ponieważ wśród nich były adresy moich obozowych koleżanek.

Pociąg ruszył następnego dnia rano. Siedząc na węglu, słyszałam, jak niektórzy mówili, że węgiel - „nasze czarne złoto” idzie już na wschód. Mówiono, że najpierw okradał Polskę jeden sąsiad (Niemcy), a teraz już kradnie drugi (Związek Radziecki).

Wkrótce dojechaliśmy do Jabłonowa Pomorskiego. Kiedy wyszliśmy na peron, obok nas pojawił się starszy pan z opaską na ramieniu, prawdopodobnie z NKWD³⁷. Nakazał wszystkim kobietom i dzieciom złożyć rzeczy w poczekalni, a potem przydzielił nam pracę. Miałyśmy uporządkować otoczenie dworca kolejowego oraz przenieść skrzynki z amunicją. W tym czasie przyszedł na dworzec do ekspedycji towarowej polski żołnierz. Zainteresował się nami i zaczął wypytywać, co tu robimy i kto kazał nam pracować. Odpowiedziałyśmy, że kapo z opaską na rękawie. Żołnierz zapytał się, skąd znamy słowo kapo. Opowiedziałyśmy mu o naszym pobycie w obozie. Wtedy żołnierz powiadomił nas, że na dworzec w Jabłonowie ma wjechać pociąg z transportem ludzi do Rosji i że grozi nam wielkie niebezpieczeństwo - wywózka do Rosji. Żołnierz kazał naszej rodzinie zabrać rzeczy z poczekalni. Ponieważ była zamknięta, żołnierz poprosił o otwarcie drzwi i udał, że zabiera nas ze sobą z rozkazu. Kiedy wyszliśmy z dworca, wyprowadził nas w stronę Piecewa i dalej kazał iść tylko

36 Jak wyjaśniła pani Bernadeta Maciąg, siostra Irka dołączyła do rodziny jeszcze przed wyjazdem z majątku Wyrza. Wracaly tylko same kobiety, ponieważ ich brat Franciszek powrócił do domu oddzielnie.

37 NKWD - radziecka policja polityczna (Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych)

polnymi drogami. Przestrzegał przed chodzeniem szosą, gdyż Rosjanie dokonywali łapanek na Polaków³⁸. Niestety, nie znam nazwiska ani stopnia wojskowego żołnierza, który tak naprawdę uratował nam życie.

Zastanawiałam się nad tym, co się dzieje i nie bardzo rozumiałam sytuację w Polsce. Nie mogłam uwierzyć, że nasi najbliżsi sąsiedzi - Rosjanie mają tyle nienawiści do Polaków.

Po powrocie do domu zastałyśmy pustkę i ogromne zniszczenia. Dobrze, że był to kwiecień i można było już myśleć o podjęciu prac polowych i pozyskaniu żywności. Wszyscy cieszyliśmy się, że koszmar wojny się skończył i że naszej rodzinie udało się ją szczęśliwie przeżyć.

38 łapanka -jeden ze sposobów używanych dla zatrzymywania większej liczby przypadkowych więźniów. Osoby zatrzymane były zamykane w więzieniach, zsyłane na przymusowe roboty lub mordowane w masowych egzekucjach.

Zakończenie

Mimo że od opisywanych przeze mnie wydarzeń upłynęło wiele lat, są one wciąż dla mnie żywe. Obecnie jestem członkiem jabłonowskiego koła Związku Byłych Więźniów Politycznych Hitlerowskich Więzień i Obozów Koncentracyjnych. W trakcie naszych spotkań nie tylko wspominamy przeszłość, ale też omawiamy sprawy aktualnie nas nurtujące. Trudno było nam się pogodzić z faktem, że władze III Rzeszy nigdy nie uznały obozu w Potulicach za obóz koncentracyjny. Również władze polskie przez długi czas po wojnie traktowały byłych więźniów Potulic jako przesiedleńców żyjących tymczasowo w niegroźnym obozie pracy. W mojej opinii Potulice były obozem koncentracyjnym. Dopiero w 1993 roku Główna Komisja Badania Zbrodni Przeciwko Narodowi Polskiemu – Instytut Pamięci Narodowej w Warszawie w dokumencie z dnia 23 stycznia 1993 roku podała: „Wyraża się pogląd, że więźniów Potulic należy traktować identycznie jak więźniów obozów koncentracyjnych.” Powyższe stwierdzenie pozwoliło na wydanie przez władze polskie urzędowej decyzji (Dz. U. Nr 17 z dnia 18 marca 1993 r.), na mocy której więźniów obozu w Potulicach z podobozami w Smukale i Toruniu należy traktować jak obozów koncentracyjnych.

Każdego roku - 21 stycznia - w rocznicę wyzwolenia obozu przy pomniku na cmentarzu w Potulicach odbywają się z inicjatywy władz samorządowych oraz miejscowej szkoły podstawowej uroczystości upamiętniające wszystkich, którzy tu zginęli. Członkowie jabłonowskiego koła Związku Byłych Więźniów Politycznych Hitlerowskich Więzień i Obozów Koncentracyjnych na czele z prezesem panem Romanem Trendowskim starają się wziąć udział w corocznych uroczystościach. (Niestety, wszyscy boleśnie odczuwamy fakt, że „ku przestrodze” nie ocalał żaden z więziennych baraków). W 2005 roku towarzyszyli nam harcerze hufca ZHP Jabłonowo Pomorskie im. hm. PL Jana Perszke, co mnie osobiście sprawiło wielką radość. Z wdzięcznością wspominam przedstawienie oparte na fragmentach moich wspomnień przygotowane przez uczniów Szkoły Podstawowej w Płowęzu pod kierunkiem pani Marzeny Wiśniewskiej. Inscenizacja

została pokazana w 2006 roku na corocznym majowym spotkaniu naszego koła.

Na łamach książki chciałabym podziękować pani Elżbiecie Zielaskowskiej – dyrektor Gimnazjum im. Mikołaja Kopernika w Jabłonowie Pomorskim za możliwość spotkań z młodzieżą. Pani Ewie Rzepce – nauczycielce historii dziękuję za zainteresowanie moimi wspomnieniami i zachęcenie mnie do podzielenia się wojennymi przeżyciami z uczniami gimnazjum. Polonistce – pani Halinie Gawendzie – pragnę podziękować za opracowanie językowe i stylistyczne oraz za korektę moich wspomnień.

Cyprian Kamil Norwid napisał: „Ojczyzna – to ziemia i groby. Narody tracąc pamięć, tracą życie.” Te słowa wielkiego poety kieruję do młodych ludzi. Idąc z postępem i robiąc karierę, nie zapominajcie o przeszłości.

Piosenki obozowe śpiewane
w obozie hitlerowskim w Potulicach
w latach 1941 – 1945

Piękny zamek w Potulicach

Piękny zamek w Potulicach
przyjął polskie dzieci te,
co zbłądziły wśród zawiei,
by tu schronić głowy swe.

Bo przed nami drut kolczasty,
co otacza wkoło nas,
a przy bramie warta czuwa
i pilnuje dobrze nas.

Co dzień rano słowik śpiewa,
smutną piosnką budzi nas.
Zegar bije szóstą rano
i do pracy wzywa nas.

Dzień uchodzi przy robocie,
snuje się nam leniwie,
bo dziś każdy jest przejęty
troską o swą rodzinę.

Wietrze, powiedz mej rodzinie,
jak nam tutaj ciężko żyć,
jak nam wolno czas upływa.
Jeszcze długo nam tu być?!

Pozwól jeszcze ujrzeć ojca,
matkę, braci, siostry me,
i rodzinne nasze chatki.
Ach, Boże, wysłuchaj mnie!

Boże, wysłuchaj nas wszystkich!
Daj, by druty pękły raz,
a my wolni i szczęśliwi
powrócili do dom wraz.

Ale trudno o tym marzyć,
ale trudno o tym śnić.
Na razie musimy cierpieć
i im poddanymi być.

Ależ miejmy tę nadzieję,
że raz wszystko skończy się.
Powrócimy na swe miejsca
i będziemy szczęśliwi.

Po cóż nam wolność – swoboda
Po cóż nam wolność – swoboda
i to powietrze z natury?
Po co nam kochanek młody?
Przed nami lagrowe mury.

Lagrowe mury z kamienia -
ileż tam młodzieży jęczy.
Czekają z Gdańska zwolnienia,
bo ich głód, tęsknota dręczy.

Barak sześćdziesiąt metrów
długości,
a tam piec gdzieś w kącie przy
murze.

Brak nam powietrza z wolności -
dwa małe okienka w górze.

Komendant naszego lagru
to taka niedobra dusza -
za darmo nam robić każe
i nic jego serca nie wzrusza.

Więc uszyjmy sztandar z purpury

i wzniesmy go do góry.
Jak będą pioruny biły,
niech biją w lagrowe mury.

Wkoło lasy – dzikie pustynie
Wkoło lasy – dzikie pustynie,
a z nami praca i smutek, żal.
Nasze obozy są w Potulicach,
kolczastym drutem otaczają nas.

Kolczastym drutem prąd
elektryczny.
Obserwatorów jest tutaj moc.
Pilnują, aby z lagru tego
nikt się nie rzucił na silny prąd.

Z karabinem maszynowym
pilnują nas w dzień i noc.
Kto nie chce cierpieć, rwie się na
życie,
Ten nie bohater, ten popełnia błąd.

W mig opiekunów nam dają,
Oni cegielki kazali nieść.
I siedem godzin nędznego spania,
i pół miseczki repety jeść.

A gdy za domem tęsknić zaczyna,
To zaraz bunkrem ukarzą ją.
Wtedy zapomni biedna
dziewczyna,
że na wolności czekają tam.

Pijmy za zdrowie, chociaż
marzeniem,
Bo nam tu wody nie chcieli dać.
Bo już niedługo nadejdzie chwila -
Szampan strumieniem będzie się
lał.

Dalej chłopcy za maszynką
Dalej chłopcy za maszynką
do Potulic wodną linką.
A o szóstej jest pobudka
I modlitwa bardzo krótka.

A o ósmej dzwonek bije,
nasza wiara kawę pije.
Taskie kawy się napije,
Do południa o tym żyje.

A na obiad garnek – zupka
i wytrzymam aż do súpka.
A na wieczór kromkę chleba
I już więcej nie potrzeba.

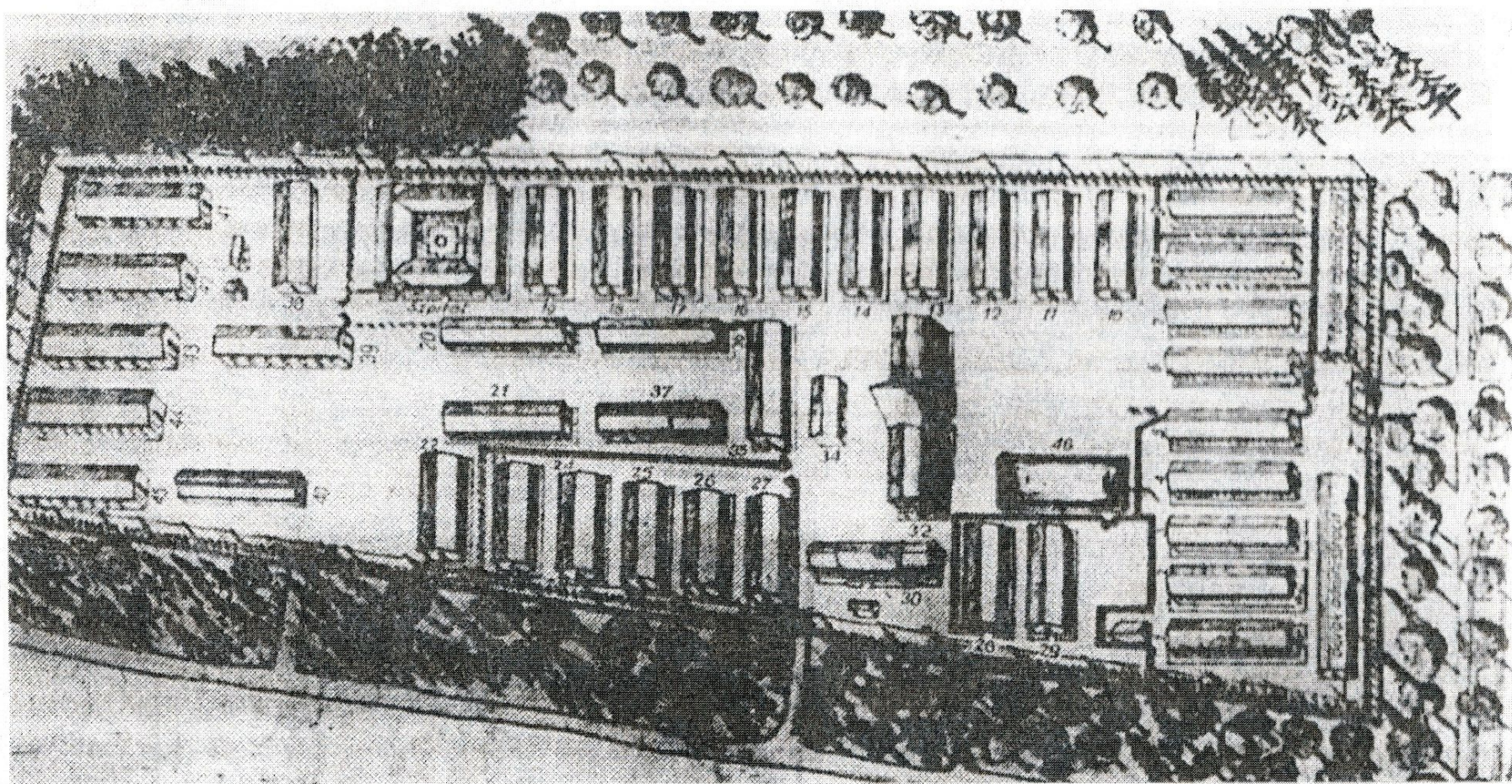
Tam w pałacu za drutami
Tam w pałacu za drutami,
szyją Polki ze Żydami.
Bardzo pilnie się starają,
aż maszyny trajkotają.

Jest to miła ta robota,
dziesięć westek uszyć z kota.
Gdy kożuchów jest za mało,
to nas straszą wielką karą.

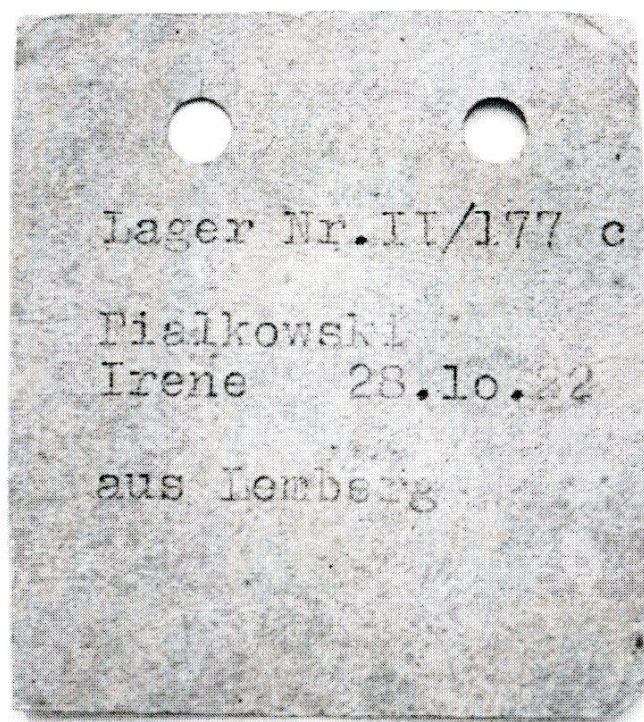
To dla Niemca, szwaba, szkopa,
będzie dobra westka z kota.
Nasz pan Jordan chłop morowy
tylko czasem jest nerwowy.

Jak się dowie coś o świecie,
To wylewa złość w robocie,
Niemczyk lata jak narwany,
czasem wali w stół pięściami.

Raz przyszliśmy do swej pracy,
Żydów nie ma już w Pałacu.
Wywieźli ich do Lublina.
Tam się ich męka zaczyna.



Plan nowego obozu w Potulicach: od 1 do 11 – baraki więźniarskie, 19 – barak dla chorych na gruźlicę, 20-27 – baraki więźniarskie, dziecięce, 30 – piekarnia, 32 – kuchnia, 34 – magazyn, 35-37 – warsztaty obozowe, 38-45 – zakłady lotnicze "Hansenwerke", 46 – pralnia i suszarnia, (rys. zapożyczony z książki T. Samselskiego, op. cit., s. 178)



Numer lagrowy Ireny Fiałkowskiej – siostry Bernadety Maciąg

W obozie każdy więzień miał obowiązek nosić swój numer zawieszony na szyi. Cała rodzina miała jeden numer, a litery dopisane za nim oznaczały członka danej rodziny:

177a - mama pani Bernadety – Waleria,

177b – brat Franciszek,

177c – siostra Irena,

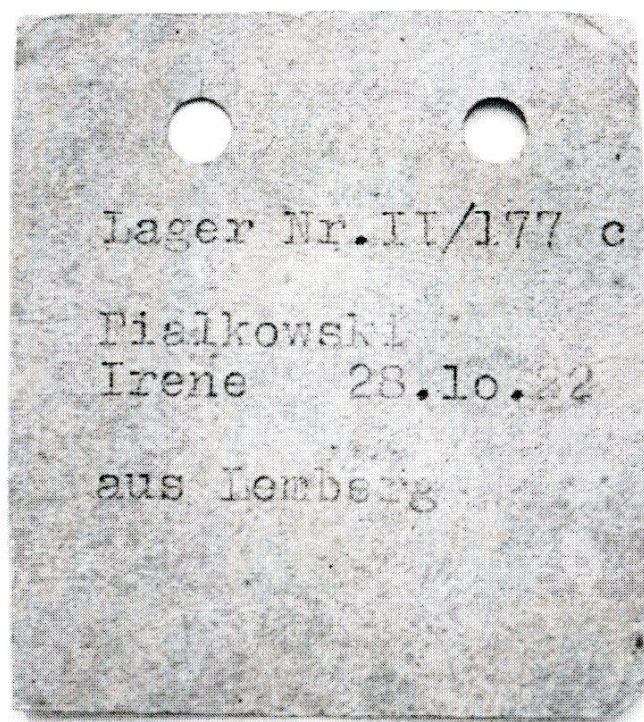
177d – siostra Genowefa,

177e – pani Bernadeta,

177f – siostra Teresa,

177g – siostra Wanda.

Pani Bernadeta Maciąg swój numer zniszczyła po powrocie z obozu w Potulicach.



Numer lagrowy Ireny Fiałkowskiej – siostry Bernadety Maciąg

W obozie każdy więzień miał obowiązek nosić swój numer zawieszony na szyi. Cała rodzina miała jeden numer, a litery dopisane za nim oznaczały członka danej rodziny:

177a - mama pani Bernadety – Waleria,

177b – brat Franciszek,

177c – siostra Irena,

177d – siostra Genowefa,

177e – pani Bernadeta,

177f – siostra Teresa,

177g – siostra Wanda.

Pani Bernadeta Maciąg swój numer zniszczyła po powrocie z obozu w Potulicach.



Pośrodku stoi mama pani Bernadety – Waleria, po jej stronach stoją: koleżanka pani Bernadety Stefania oraz jej siostra Irena. Poniżej siedzą: siostra pani Bernadety Genowefa i ona sama. Zdjęcie wykonano 1944 roku podczas pobytu w majątku Wyrza.

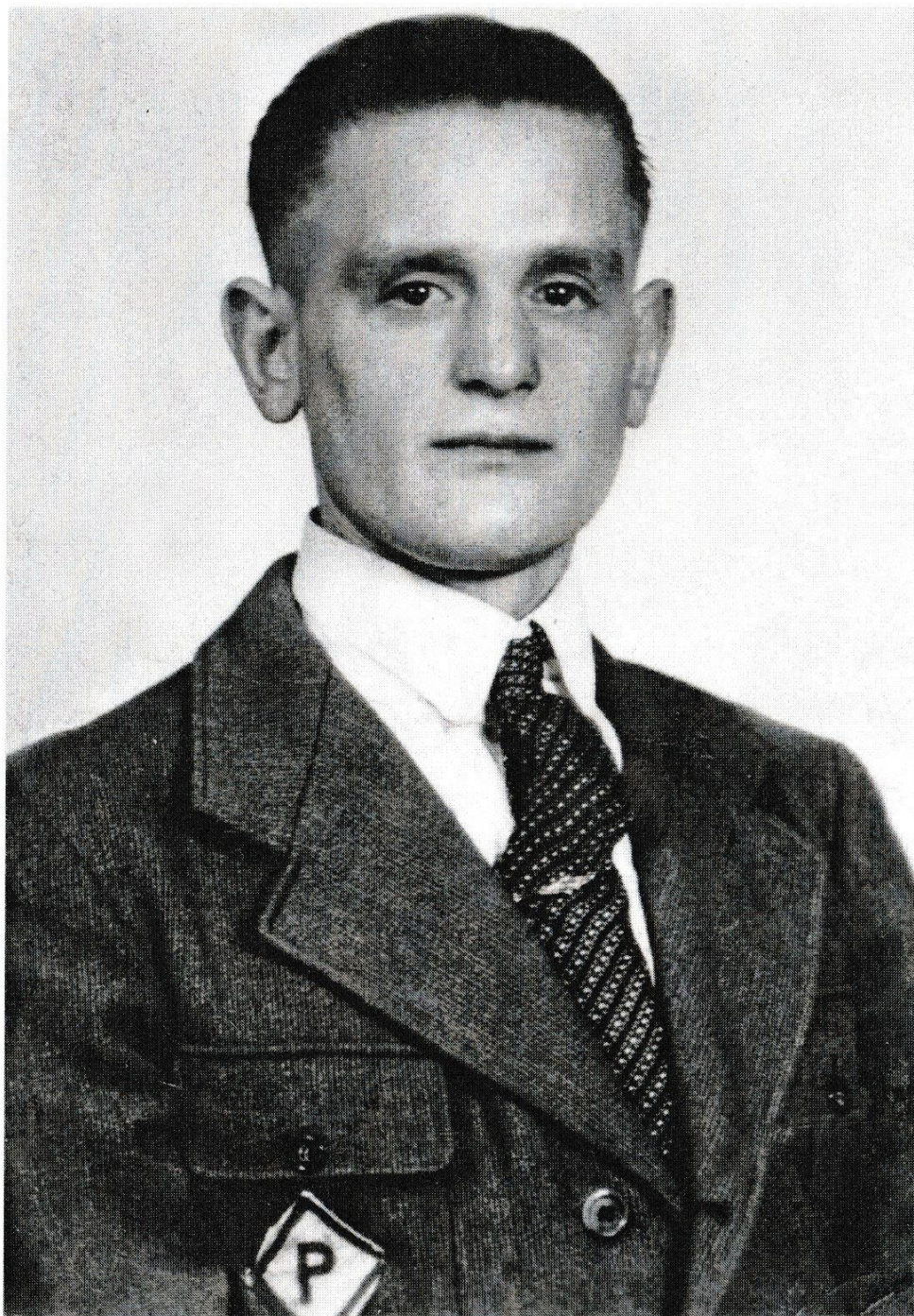


Od lewej: siostra pani Bernadety – Teresa, siostra – Wanda, pani Bernadeta i siostra Genowefa. Zdjęcie zostało wykonane jeszcze przed wysiedleniem rodziny 1941 roku w Lembargu.

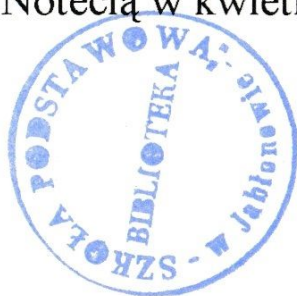


O lewej: siostra pani Bernadety – Genia, siostra – Irena, która tego dnia przyszła w odwiedziny z majątku Chrzastkowo, koleżanka pani Bernadety – Stefania i na końcu sama pani Bernadeta.

Zdjęcie wykonano w 1944 roku podczas pobytu w majątku Wyrza.



Zdjęcie przedstawia pana Stefana Masłowskiego, który pomagał rodzinie pani Bernadety Maciąg podczas pobytu w obozie. Zdjęcie zostało подарowane podczas przypadkowego spotkania w Nakle nad Notecią w kwietniu 1945 roku.





Bernadeta Maciąg (z domu Fiałkowska)

– mieszkanka Lembarga w gminie Jabłonowo Pomorskie. W czasie II wojny światowej wywieziona z rodziną do obozu pracy w Potulicach. Wspomnienia obozowe spisała w 1993 r. Rok wcześniej wstąpiła do Polskiego Związku Byłych Więźniów Politycznych Hitlerowskich Więzień i Obozów Koncentracyjnych. Od 1994 r. jest aktywnym członkiem zarządu jabłonowskiego koła związku. W 1996 r. została odznaczona przez Prezydenta RP Aleksandra Kwaśniewskiego medalem Krzyż Oświęcimski.

